№ 26. Warszawa, dnia 30 (18) Czerwca 1888 r. Rok VIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Do dzisiejszego numeru **Prawdy** dołączamy w bezpłatnym dodatku dla abonentów półrocznych drugą część dzieła **Historya XIX w.** (od r. 1815 do 1888). Stali więc czytelnicy nasi posiadają już całą książkę, jedyną u nas w tym rodzaju, która, jak mniemamy, dogodzi ich potrzebie i zapełni ważny brak w naszej literaturze.

Prenumeratorzy, którzy nie trzymali **Prawdy** w kwartale I, dopłacają za II część kop. 50, z przesyłką 60.

Którzy nie trzymali pisma naszego w roku zeszłym, mogą nabyć część I za rs. 1 — z przesyłką rs. 1 k. 20.

Cena Historyi XIX w. w handlu księgarskim wynosi rs. 3 k. 30, z przesyłką pocztową rs. 3 k 60.

POLITYKA.

PIECZĘĆ POKOJU.

Oczekiwanie mowy tronowej nowego cesarza niemieckiego utrzymywało Europę w silnej gorączce. Właściwie zaczęło się ono dawniej, niż od zgonu Fryderyka III, bo jeszcze za ostatnich miesięcy życia Wilhelma I. Już wtedy wiedziano powszechnie, że 90 paroletni starzec stoi nad krawędzią grobu, że jego syn, dotknięty nieuleczalną chorobą, wkrótce pójdzie za ojcem; cała więc uwaga, jaką budzi w świecie potęga Niemiec, skupiła się na Wilhelmie II. Miała ona zaś przed sobą po części trudny do odgadnięcia rebus, po części fantastyczny wizerunek z niepokojącym podpisem. Pogłoski, milcząc o innych zasadach i upodobaniach młodego następcy tronu, wyraźnie i uparcie uwydatniały tylko jego cześć dla Marsa, która naturalnie w swobodnem ujściu najgłębiej oddziałałaby na losy Europy. Jego pierwsze odezwy — do armii i marynarki— zdawały się potwierdzać wiarę w ideały i zamiary wojskowe. Ale zamiary te, przynajmniej co do przyszłości najbliższej, mogła wskazać jedynie mowa do przedstawicieli narodu, określająca zewnętrzne stosunki państwa. Dlatego oczekiwano ją z taką niecierpliwością i niepokojem.

Przy bardzo uroczystym ceremoniale, śród książąt rzeszy, wygłosił ją cesarz Wilhelm II w sejmie niemieckim. Część pierwsza, poświęcona sprawom wewnętrznym państwa, jest kantatą na cześć rządów dziadka, z której — jak i z manifestu—odzywa się— według słusznego określenia jednej z gazet wiedeńskich— głos organu kościelnego, spleciony z tonami polityki kanclerza. A więc: opieka nad dolą ludności pracującej „według przykazań etyki chrześciańskiej," energiczne tłumienie usiłowań podkopania porządku państwowego itd. Do tych zasad, które — jak wyraźnie oświadczył — Wilhelm II „przyswoił sobie z orędzia wydanego w r. 1881 przez dziada i pilnie czuwać nad niemi będzie," dołączył przysięgę ojca, zobowiązując się strzedz ustaw konstytucyjnych.

Część druga, sięgająca na zewnątrz i po za granicami Niemiec głównie ważona, odmierzona została w pojedynczych punktach według stopnia stosunków państwa z innemi mocarstwami, ale wyraźnie podkreśliła cele pokojowe i uśmierzyła obawy. Na pierwszym szczeblu związków przyjacielskich postawiono Austro-Węgry. „Stoję przy tym sojuszu — powiada cesarz — silnie, z niemiecką wiernością nietylko dlatego, że został zawarty, lecz i dlatego, że w tem przymierzu *odpornem* widzę podstawę równowagi europejskiej i przekazaną nam spuściznę dziejów niemieckich, zwłaszcza gdy jego treść znalazła uznanie w opinii publicznej całych Niemiec i odpowiada tradycyom prawa międzynarodowego w formie, w jakiej ono do r. 1886 moc swą posiadało."

Z drugiej strony serca Niemiec leżą Włochy. „Oba narody pragną używać błogosławieństw pokoju, ażeby pod jego tarczą pracować nad utwierdzeniem świeżo zdobytej jedności, wykształceniem instytucyj państwowych i rozwojem dobrobytu."

Trzecie miejsce wyznaczono Rosyi a odnośny ustęp według telegramu brzmi tak: „Zaznaczam to z wielkiem zadowoleniem, że ani przymierze z Austryą, ani przymierze z Włochami nie przeszkadza mi pielęgnować troskliwie osobistej przyjaźni dla Cesarza Rosyi i pokojowych, oddawna istniejących stosunków z sąsiedniem państwem ruskiem. Stosunki te odpowiadają zarówno moim uczuciom, jak interesom narodu i państwa niemieckiego."

A zatem Wilhelm II wstąpił na tron z gałązką pokoju. „Miłość moja dla armii niemieckiej — wyznaje on — i stanowisko naczelnego jej wodza nie uwiodą mnie nigdy pokusą zakłócenia dobrodziejstw, spływających na kraj w czasach pokoju. Nie wypowiem wojny, jeżeli mnie do niej nie zmusi najazd mojego kraju, dziedzin moich sprzymierzeńców, lub inna jakaś nieprzewidziana i nieoczekiwana okoliczność." W potrzebie pod tę „okoliczność" podciągnąć można wszelki powód, ale tymczasem mamy bardziej duchem niż słowem przekonywające zapewnienie, że piorun wojny nie kołysze się w chmurze pruskiej. Wilhelm II uderza w tę strunę ze szczególną mocą. „Nadużywanie potęgi mej armii dla wojen zaczepnych nie leży wcale w zakresie moich myśli i zamiarów. Niemcy nie potrzebują nowych wojen, nowej sławy i nowych zdobyczy."

Wszystko to za rok, dwa lub trzy może się odmienić i naiwnym byłby ten, ktoby najuroczystsze tego rodzaju obietnice chciał jako balsam rozsmarować po długim szeregu lat, ale na teraz mają one swe niewątpliwe znaczenie. Dziś, tj. w r. 1888, Niemcy nie chcą wojny i do każdej zatrwożonej tą groźbą duszy mogą zawołać słowami swego poety: *mein Liebchen, was willst du noch mehr?*

Pomimo jednakże „dyamentów,“ „pereł“ i „wszystkiego, czego ludzie pożądają,“ czy po wysłuchaniu tej pieśni pokoju są już zadowoleni i na długo uwolnieni od obaw? Dziś pieśń ta brzmi po całej Europie, narody obchodzą święto odżegnania widma, oswobodzone od troski serca biją radośnie, nawet rubel podrzucony został przez gieldowiczów w górę — zapanowała wiosna na najpiękniejszym ze światów, niebo zegnało ze swego sklepienia wszystkie chmury... A przecież bez daru jasnowidzenia można nieomylnie wywróżyć, że ta sama prasa niemiecka, która dziś bije we wszystkie dzwony pokoju, niedługo zacznie nabijać swoje i cudze armaty, rzucać alarmy i straszyć wojną, a — co ważniejsza — w rzeczywistości znajdzie zawsze usprawiedliwienie dla swoj wrzawy.

W „WARSZAWSKIM DNIEWNIKU.“

I.

Redakcya tutejszego półurzędowego organu otrzymała — jak objaśnia — z zagranicy list od „Polaka z potopu niemieckiego.“ Autor tego pisma w 25-letniem doświadczeniu zmienił zasady swego patryotyzmu, a rozwój ten doprowadził go do wniosku, że polacy ocalić się mogą tylko w walce z niemcami, a w ścisłym związku z Rosyą. *Warsz. Dniewnik*, pomieściwszy cały, bardzo obszerny wywód, spodziewa się, że „na każdego ruskiego wywrze on dobre wrażenie.“ „A być może — mówi dalej redakcya — że i niektórzy polacy pod wpływem tego listu zastanowią się z krwią zimną nad „krzywdami,“ wyrządzonemi przez Rosyę i bacznie rozejrzawszy się dokoła, spostrzegą: kto teraz jest przyjacielem, kto wrogiem narodu polskiego, nietylko naturalnie w słowach i urojeniu, ale siłą zbiegu okoliczności i naturą rzeczy.“

Korzystamy z tego polecenia i zastanowimy się nad głosem „Polaka z potopu niemieckiego,“ tem chętniej, że znajdziemy w jego twierdzeniach dużo materyału dla uwagi.

Oto treść pisma:

Pierwiastki germańskie coraz głębiej przenikają w organizm Słowiańszczyzny; ponieważ zaś naród polski tamował je od wschodu i północy, więc głównie szaleją one w jego kolebce, wsparte pomocą Watykanu. Zdawałoby się, że wobec rosnącej w potęgę monarchii prusko-niemieckiej, naród ów powinienby podgarniać się pod skrzydła takiego państwa, które ma interes i moc do odparcia tego zalewu. Kapitały niemieckie wydzierają polakom ziemię i skazują ich na tułaczkę po całej kuli świata; katolicyzm nie ubezpiecza ich od zagłady, gdyż papież dał owczarni polskiej pasterzy niemieckich, którzy nie bronią jej od pożarcia przez wilki pruskie. Krok za krokiem posuwa się „Drang nach Osten,“ powstrzymując nawet rozwój Rosyi. Pomorze, porzecza Elby, Odry, Sali i Wisły, zatonęły w otchłani germańskiej, jej kultura zawładnęła Europą i ubezwładniła Rosyę. Austro-Węgry zaprzęgły się dobrowolnie do jarzma niemieckiego, przeciw któremu słabo oddziaływają ludy słowiańskie, wchodzące w skład tego państwa. Wobec tego niebezpieczeństwa słowianie uczuli potrzebę wytworzenia odporu, który ciągle osłabiają rozterki w ich rodzinie. Do rodziny tej należy również naród polski. Najbardziej przez niemców zagrożony, wyzuty z praw i ziemi, powinien zwracać swe wysiłki w stronę dążeń, pragnących zjednoczyć Słowiańszczyznę, gdyż na tej tylko drodze zdoła złączyć swe rozdarte części i ocalić się przed zagładą. Teraz właśnie doświadczenie, okupione cierpieniem, przekonało go, jaką wartość praktyczną mają obietnice zachodnich jego przyjaciół i opieka Kościoła. Naukę tę daje polakom cała ich historya. Za pośrednictwem Kościoła panował nad nimi dawniej papież, rządziła zaś szlachta, wychowana przez duchowieństwo, podległe jego rozkazom, sprzecznym z interesami narodu słowiańskiego. Wybieralni królowie władali tak, jak chcieli magnaci i dostojnicy kościelni. Taka kosmopolityczno-katolicka, a nienarodowa polityka, dyktowana z Rzymu, okazała się zgubną dla organizmu państwowego Polski, który pod jej wpływami musiał umrzeć. Historya jego rozwoju i upadku wykazuje, że gdy Polska zniosła tolerancyę religijną i poddała się Watykanowi, pękły węzły łączące ją z Rusią, a stosunki przyjacielskie z ludami słowiańskimi ustąpiły miejsca krwawym wojnom. Wojny te, prowadzone w interesie Kuryi rzymskiej, wyzyskali natychmiast niemcy, zabrali Szląsk i prowincye nadmorskie, zniweczywszy w ten sposób naturalne granice państwa polskiego. Z tych wydartych ziem wyrosły potężne Prusy, najnienawistniejszy wróg Polski katolickiej, która jednocześnie swą kulturą zachodnią odstręczyła od siebie współplemieńców i oddała ich na łup Austryi.

Otoczona z trzech stron przez nieprzyjaciół, musiała ona w końcu utracić swą niezależność narodową i państwową. Gdy zaś, jako bezsilna, stała się niepotrzebną kościołowi, ten ją opuścił: Leon XIII zawarł przyjaźń z tymi, którzy polakom wydzierają ich narodowość, prawa i ziemię, Bismarka, protestanta, ozdobił orderem, a króla pruskiego uważa za swego sojusznika. Watykan zapomniał o tem, że naród w ciągu tylu wieków wysługiwał się papieżom i wbrew swym interesom krzewił wiarę katolicką; obecnie patrzy na to, że cerkiew prawosławna wypiera z Polski cywilizacyę rzymsko-katolicką i z powodzeniem szczepi na jej gruncie kulturę własną.

Ludy katolickie, pragnące zachować swą religię, a zarazem zjednoczyć swe siły we wspólnym obozie, żądają od papieża wprowadzenia do kościołów języka narodowego, zamiast łaciny; ale Watykan sprzeciwia się temu i rzuca je w walkę z duchowieństwem, które zwraca się o pomoc do wrogów swobody i powstrzymuje unię plemienną. Polityka Leona XIII jest więc względem potężnych uległa i pojednawcza, względem słabych — wojownicza i surowa. I on prowadzi siłę przed prawem.

Zjednoczenie ludów słowiańskich wiele jeszcze kosztować będzie mozołu, ofiar, a nawet krwi przelanej w walkach z niemcami, ale ostatecznie one złączą się i zwyciężą siłą zdrowia swych pierwiastków. Zdrowie to odrodzi chorą na niewiarę, materyalizm i komunizm cywilizacyę zachodnią. Rosya, dzięki swej potędze, mogłaby dokonać wielkiego dzieła unii pobratymców, gdyby trzymała się wyłącznie polityki słowiańskiej i nie wchodziła w sojusz z jej wrogami. Dziś słowian spaja tylko uczucie nienawi-

---

2)

NASZ ANTONI

przez

Emila Marriota.

Czas upływał. Wśród ciemnych włosów księdza pojawiły się pierwsze nitki srebrzyste, a na jego czole pierwsze zmarszczki. Biedna Jetta przestała już być „Jettchen,“ lecz była coraz bardziej podstarzałą Henryettą i dużo znosiła od wiecznie zgryźliwej ciotki. Następnie jeszcze jeden ciężki spotkał ją cios. Urzeczywistniło się marzenie księdza: dostał miejsce proboszcza i musiał opuścić Wiedeń. Wieść o tem wprawiła ją w oniemienie. Wikary jedynym jej był przyjacielem, jedynym człowiekiem, z którym łączyła ją wspólność interesu... Ksiądz boleśnie uczuł rozłąkę. Z kim potem będzie mówił o Antosiu? Nikt, jak ona, nie był równie uprzejmym dla niego, współczującym, oddanym duszą całą. Wprawdzie przyrzekli sobie pisywać często. Czem jednak są listy w porównaniu z mową ustną! Nie biegli też w piśmie byli oboje. On czuł się osamotnionym na plebanii swojej a ona płakała za nim, skoro jej tylko ciotka pozostawiała kilka chwil wolnych.

* * *

Tymczasem podrastał Antoni. Z chłopca stał się młodzieńcem, z istoty cichej, przygnębionej, bez woli — człowiekiem myślącym. Uczył się dobrze, choć nie we wszystkich przedmiotach. Ulubionemi naukami jego były matematyka i geografia, a wymowny był, jak adwokat. Był przystojny, smukły, o mądrem oku i blond włosach. Na młodej jego twarzy występował nieraz wyraz zamyślenia, graniczący z melancholią. Wogóle był raczej poważnym, niż wesołym. Cieszył się zawsze na myśl o wakacyach, spędzanych w domu opiekuna, proboszcz bowiem za każdym razem przyjmował go z wielką czułością i często wtedy rozmawiał z nim o jego przyszłości. Natenczas Antoni spuszczał oczy lub marzycielsko wodził niemi po lesie i niwach a myślał przytem, jak świat wielki, szeroki i piękny; jak to cudnie być musi przenosić się z kraju do kraju i módz poznawać wszystkie te piękności. Unosiły się przed nim Włochy, Tyrol, Ren — i jeszcze wiele innych rzeczy, a głowa mu opadała na piersi. Jakże ciasne mu były mury seminaryum! Zdawało mu się często, że legnie pod ich ciężarem. Ach, jeśliby tak wolno było wylecieć na świat szeroki, coraz dalej i dalej! Przed nim raj ten był zamknięty. Od wypowiedzenia tego wszystkiego wstrzymywały go wdzięczność, obowiązek i miłość własna. Milczał — ale w ukryciu robak nurtował go ciągle.

* * *

Kiedy umarła ciotka Jetty, Antoni był już teologiem. Dużo się nacierpiawszy przy chorej, biedna, stara Jetta jeszcze bardziej stała się onieśmieloną, niż przedtem. Serce jej jednak pozostało niezmienionem — i teraz, jak dawniej, biło ono jedynie dla przyjaciela duchowego i „naszego“ Antoniego. Nigdyby nie zdobyła się na tyle odwagi, aby wypowiedzieć długo tajone pragnienie swoje co do zamieszkania w domu księdza dla prowadzenia mu gospodarstwa. Dopomógł jej przecież proboszcz sam, zapytując listownie, czy chce być u niego gospodynią. Zgodziła się i niezadługo zjechała do plebanii... zestarzała, wychudła i niedołężniejsza, niż kiedykolwiek. Rumieniła się bez powodu, bez ustanku się usprawiedliwiała i cobądź robiła, wyrażała obawę, że proboszcz nie będzie zadowolony. Nigdy jej nie chwalono, ciotka ją wiecznie ganiła i pogardzała nią; straciła więc wiarę we własne siły. W domu proboszcza zaczęła rozkwitać powoli. Zacny ten człowiek rad był ze wszystkiego i dziękował za lada drobnostkę, obchodził się z gospodynią pobłażliwie i z szacunkiem. Jetta często zalewała się

ści do niemców; ale ono samo do obrony od zalewu germańskiego nie wystarczy. Na to potrzeba jeszcze zgody i wspólnej pracy, w której uczestniczyć także winni z całem wytężeniem wszystkich swych sił i polacy.

Taki jedynie ustrój słowiański, w którym każdy naród będzie korzystał z praw jednakich, jako wolny śród wolnych i równy śród równych, może zapewnić Europie trwały pokój, wyleczyć ją z niebezpiecznych dolegliwości i uchronić cywilizacyę od zagłady.

W nieuniknionym biegu rzeczy Europa musi przyjść do zrównoważenia sił między mocarstwami, co nastąpi tylko po złamaniu militaryzmu prusko-niemieckiego, w którym zamarło uczucie sprawiedliwości względem innych narodów. Nie może tam na nią liczyć zwłaszcza naród polski, który kultura giermańska skazała na śmierć. Powinien on przeto myśleć o złączeniu się z innymi ludami pokrewnymi i stworzeniu potężnego słowiańskiego organizmu państwowego. Jako część składowa takiego państwa nie naraża swych praw i narodowości; przeciwnie, wzmocni środki swej obrony.

Kultura niemiecka, zatopiwszy odłamy ziem słowiańskich, rozlewa się już szeroko na południo-wschodzie. Na to nie może obojętnie patrzeć Rosya, która, prędzej czy później, zetrze się z wrogiem i powoła współplemieńców do łącznej walki. Polacy już przekonali się, że muszą ku temu celowi skierować również swe dążenia i że od niemców nie czeka ich żadne dobrodziejstwo. Nie uratuje ich także Austrya, gdyż ona nie będzie nigdy państwem słowiańskiem a dziś posługuje się narodem polskim tylko dla osłabienia Rosyi.

Główną siłę tej ostatniej stanowić zawsze będą ludy słowiańskie, które, o ile utonęły w morzu giermańskiem, ona tak samo odzyskać może, jak Niemcy odzyskały Alzacyę i Lotaryngię. Wszakże już Aleksander I marzył o zjednoczeniu dzielnic polskich, ale Napoleon udaremnił jego zamiary. Odtąd Rosya związała się z Prusami „świętem przymierzem," które po wojnie krymskiej zwątlało, a po kongresie berlińskim musiało pęknąć. Wtedy Niemcy połączyły się z Austryą i Włochami przeciw Rosyi, a ks. Bismark, zapewniając w Petersburgu o swej nadzwyczajnej miłości i krępując nią politykę ruską, której plany wszędzie tajemnie krzyżuje i dobrobyt podrywa, przeszkadza zjednoczeniu się słowian. Jeżeli kultura germańska zaleje kolebkę narodu polskiego, to zwolna rozpłyną się jej fale po dalszych ziemiach słowiańskich, wzdłuż Wisły, Buga, Niemna, Dźwiny a nawet Dniepru. Już dziś tam dotarły przednie straże niemieckie — a zaborczy ten ruch odeprzeć można tylko zjednoczonemi siłami rodziny słowiańskiej. Na to chyba zgodzi się każdy myślący i do swej narodowości przywiązany polak, który wie, czem jest walka z przemocą, nieuznającą żadnych praw. Również każdy słowianin, znający dzieje swego plemienia, powinien zrozumieć, że kto osłabia naród polski, pomaga niemcom osłabiać Rosyę, którzy kiedyś wyzyskają przeciw niej w krwawych wojnach niechęć urażonych pobratymców. Rząd ruski mógłby zapobiedz temu, gdyby równouprawnił narody słowiańskie, zostające pod jego panowaniem. Wówczas Rosya rozporządzałaby olbrzymią i odpowiednią dla swych zadań potęgą, wówczas otworzyłyby się przed nią wrota Bosforu i Dardanelów, a w Konstantynopolu na kopule kościoła św. Zofii błysnąłby krzyż Chrystusowy przez nią zatknięty.

Takiej Rosyi Berlin się lęka i dlatego od niej twierdzami się ubezpiecza.

Dziś narody już odczuwają potrzebę zrzucenia jarzma militaryzmu pruskiego a to poczucie skupi wszystkie uciśnione dla położenia kresu zbrojnemu pokojowi, który rujnuje państwa a umysłowy i roboczy proletaryat rzuca w objęcia rewolucyi. W niechybnej wojnie z prusko-niemieckim militaryzmem nastąpi obrachunek między słowianami i niemcami, a podpisany będzie tylko na zasadzie uszanowania cudzej własności, zasadzie, nie uznawanej dotąd przez zaborczą siłę niemiecką. Układu tego jednak przestrzegać będą Niemcy jedynie w takim razie, skoro w rodzinie słowiańskiej zapanuje zgoda i jedność; do tego zaś przyjdzie tylko wtedy, gdy każdy naród słowiański będzie używał u siebie tych samych praw, jak wszystkie inne.

Tak więc, zachodnia Słowiańszczyzna powinna teraz przedewszystkiem starać się o wytworzenie takiego ustroju państwowego, któryby miał dość sił do odparcia najazdu niemieckiego. Powstanie takiego organizmu poprzedzić jednak musi wojna Rosyi i Francyi z militaryzmem niemieckim. Obecnie niezbitym już jest faktem, iż polacy mogą tylko w Słowiańszczyźnie i z pomocą sił słowiańskich odzyskać swe prawa i ocalić swą ziemię z potopu niemieckiego.

Obecnie złączenie narodu polskiego w jedną całość urzeczywistnić się może wyłącznie drogą zjednoczenia go z takim państwowym organizmem, który zmuszony będzie w obronie swych granic i własnych interesów stoczyć wojnę z najazdem niemieckim. Otóż rozważywszy współczesne wypadki w Europie przyszedłem do przekonania, że tylko w obecnem położeniu rzeczy może naród polski wznieść trwały szaniec przeciwko zalewowi niemieckiemu, gdy dążyć będzie usilnie do zgody i jedności słowiańskiej. Poczucie tej konieczności, harmonii i zjednoczenia sił słowiańskich zespala z Rosyą w Polsce tych wszystkich, którzy pragną gorąco ocalić swoje prawa i ziemie od zagłady. Tylko od Rosyi zawisło obecnie doprowadzenie do skutku zjednoczenie słowian w Europie i odwrócenie od niej potopu niemieckiego.

Tyle *Warszawskij Dniewnik* i przemawiający w nim „Polak z potopu niemieckiego."

O tym ciekawym objawie pomówimy w numerze następnym.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dużo czasu upłynie, zanim uwaga prasy i politykującej publiczności wybrnąć zdoła z wrażeń, wywołanych zmianą głowy koronowanej w Niemczech i pierwszemi hasłami jej głosu. Po tej wierze w wojenne zamiary Wilhelma II, jaką powszechnie żywiono, jego pokojowa uwertura do rządów sprawiła niemałe wzruszenie, przyjemne dla jednych, przykre dla drugich. Widnokrąg Europy rozpogodził się na całym jej obszarze, ale już dziś przypomina on chore gardło, z którego starto na chwilę błony dyfterytyczne, a które natychmiast pokrywa się nowym nalotem.

Obecna jasność jest blaskiem przekroju kuli ołowianej, który szybko przyćmiewa się i mętnieje. Dziennikarze, oklaskawszy z zachwytem mowę tronową cesarza niemieckiego, zwiastującą pokój, zaczęli szukać znaków wojny. I znajdują je. Przedewszystkiem zamilczenie w tej mowie o Francyi daje wątek domysłom, nie licującym z powszechną ufnością. Nawet biedny rubel, nagle wskoczywszy na dawno mu niedostępną wysokość 190 fenigów, również nagle został z niej strącony do 187 — bez żadnego istotnego powodu. Niemców mdli

---

łzami, ale błogie to były łzy, łzy, jakiemi płacze człowiek, nieprzyzwyczajony do szczęścia, ani dobroci.

Spokojnie pędzili życie. Ona zajmowała się domem, proboszcz — pieczą duchowną, wieczorami zaś na plebanii zbierało się kilku przyjaciół, grano w karty, a Jetta przypatrywała się, robiąc na drutach lub cerując. Najmilszym przyjacielem proboszcza był kupiec pewien, wdowiec i człowiek bardzo poważany w miasteczku. Miał jedyne dziecko, córkę, Annę, wybujałą, nad wiek mądrą i szczebiotliwą. Nie rumieniła się nigdy, nigdy nie była w kłopocie, wtrącała się do wszystkiego, a duże jej, śmiałe oczy patrzyły każdemu prosto w twarz z nieustraszoną naiwnością. Zresztą na wszelkie zasługiwała pochwały. „Musi mi ona zastąpić syna" — mawiał kupiec. Z temi słowami zaś łączyła się wiecznie powracająca skarga na przedwczesną śmierć syna. „Oto był chłopiec! taki żywy i mądry... tenby mi wyrósł na zastępcę w interesie! A co za podporę miałbym w nim! Mógłbym go posyłać w drogę, powiększyć interes i część trosk moich na młodsze rzucić barki. Umarł w dziewiątym roku."

Potem następowało zwykle chrząkanie i kaszel i biedny bogacz z gwałtownością tasował karty i rękami drżącemi jednę po drugiej rzucał na stół... Antoniego zaciekawiał ten człowiek. Wdawał się z nim często w rozmowę, a kupiec coraz częściej mu się zwierzał, opowiadał młodemu klerykowi bieg interesów swoich: jak one są rozgałęzione i mozolne, jak na ludziach płatnych polegać nie można, jak nie ma nikogo, ktoby na prawdę był mu wiernym i uczciwie dopomagał, jak jest osamotniony i z każdym rokiem więcej czuje tę swoją samotność. Wprawdzie córkę ma dzielną i pracowitą, ale dziewczyna zawsze jest dziewczyną; umie ona obsługiwać kundmanów, kierować sprzedażą, prowadzić kasę... lecz czynić zakupy, odbywać podróże — to przechodzi jej siły. To byłoby właściwe pole dla syna — ten jednak leży na cmentarzu, a on, ojciec pozostał sam, bez podpory, bez następcy...

Młody teolog zamyślał się w takich chwilach. Istotnie, wyborne to byłoby miejsce dla człowieka czynnego i zamiłowanego w pracy: krzątać się, działać, podróżować, pomagać i zacnemu starcowi zastąpić syna utraconego. Ilekroć wracały ferye, dokładniej poznawał kupca i bardziej się przywiązywał do niego. I starzec z rokiem każdym stawał się smutniejszym i więcej rozpaczał z powodu śmierci syna, a Antoni coraz bardziej pognębiony wracał do alumnatu...

* * *

Anną zwykle bardzo mało zajmował się młodzieniec. Dla tego też uszło jego uwagi, że z zuchowatego, śmiało spoglądającego podlotka, powoli wcale ładne zrobiło się dziewczę. Kształty jej zaokrągliły się, oczy nabrały wyrazu dziewiczej zadumy, nie mówiła już tyle i bez namysłu, nie dawała zarozumiałych odpowiedzi i nauczyła się siedzieć spokojnie. Że czuła się przytem nieszczęśliwą — nie domyślał się nikt, najmniej jej ojciec. „Tak, gdybym była mężczyzną — myślała często — mogłabym się ojcu przydać na co; teraz słyszę tylko ciągle, że nie zdołam mu zastąpić syna. Staram się, o ile mogę, od rana do wieczora stoję za kontuarem, służę kupującym, robię wszystko, co jest w mojej mocy, a pomimo to słyszę ciągle to samo: „przecież tylko jest dziewczyną!"

Liczyła lat siedemnaście, a Antoni dwadzieścia trzy. Że nie zważał na nią, bardzo to jej zdawało się naturalnem. Jemu, jako kandydatowi na księdza, nie wolno było nadskakiwać dziewczętom. Ale on jej się podobał. Był tak piękny, uczony, poważny i grzeczny. Właściwie, szkoda, że... ależ to była niedorzeczność! Co on ją obchodził? Kiedy jednak przyszły wakacye, a wraz z niemi Antoni, dziewczę stawało się jeszcze małomówniejszem i więcej zamyślonem, a on również chodził smutniejszy, niż zazwyczaj.

Sami nie wiedzieli, jak się to stało: ale po pewnym czasie spostrzegli, że nie mogli

wiara w pokój, mdlą też ona jest dla wszystkich.

Dziwną organizacyą jest ten ks. Bismark. Nigdy nie można o nim powiedzieć: każdym calem wielki, ma bowiem cale nadzwyczaj małe. W tym szczególnym człowieku kojarzą się rysy umysłu olbrzyma i karła. Umie on podejmować rozległe przedsięwzięcia i przeprowadzać je znakomicie, ale zarazem umie okurzać się pyłem drobiazgów i z upodobaniem rozdeptywać robaki, które mu w drogę wejdą. Znane są jego prosesy o obrazę z praczkami, właścicielami psów itp. Teraz za pośrednictwem swej prasy ostrzeliwa d-ra Mackenziego za to, że ten, przecząc istnieniu raka w gardle Fryderyka III, umożliwił mu wstąpienie na tron. Zdawałoby się, że skoro biedny monarcha po kilkomiesięcznem panowaniu już umarł, nie wyrządziwszy kanclerzowi żadnej szkody, mógłby *major domus* Hohenzolernów już mu przebaczyć, zapomnieć o urazach. Nie, on nikomu nie przebacza i niczego nie zapomina, a myśl, że od jakiegoś lekarza angielskiego zależało, czy Fryderyk ma zostać cesarzem niemieckim, jest tak potworną, że mu odpoczącć nie daje. Ogary najmiekiej prasy ścigają Mackenziego, wyjąc żądzą wytoczenia mu procesu za to, że ukrył chorobę i najbardziej ludzkiemu z Hohenzolernów pomógł panować przez trzy miesiące! Co to za zbrodnia i jaki słuszny powód do gniewu o to, że przez owe trzy miesiące płynęły z tronu słowa szlachetnego serca i dobrej woli!

W najwyższych kręgach monarchii austryackiej panuje radość z tak okazałego potwierdzenia sojuszu przez nowego monarchę Niemiec. Jej prasa pieści się nadewszystko zapewnieniem, że potężny sprzymierzeniec rzuci swój miecz na szalę wypadków, gdy zagrożone będą dzielnice jego przyjaciół. A wiadomo, że Austrya ma w tej przyjaźni nr 1.

P. Smolka, chociaż mu podobno wymknęło się (zatarte w sprawozdaniach urzędowych) jakieś niepotrzebne słówko o „pokucie Fryderyka III za cudze winy," otrzymał z Berlina podziękowanie za swą mowę. Zasłużył na nie.

Zdaje się, że szczudła, na których chodził Boulanger, odmówiły mu dalszej usługi: monarchiści wypowiadają mu spółkę a postrzeleni republikanie żądają „programu pozytywnego." Łatwo żądać, ale nie dać, kiedy się ma w głowie wiatr a w ustach piasek przezeń rozdmuchiwany...

Jeszcze raz ktoś w parlamencie angielskim wystąpił z wnioskiem skruszenia kajdan Irlandyi. Pobożne to życzenie przebrzmi bez echa w sercach większości, a tymczasem Dillon osadzony został w więzieniu z mocy najniesprawiedliwszego wyroku.

Podobno przesilenie ministeryalne w Bułgaryi zażegnano ustępstwami ze strony ks. Koburskiego i jego doradców.

SPRAWY EKONOMICZNE.

W CIEMNOŚCI.

Świeżo ogłoszona ustawa leśna, której osnowę przed paru tygodniami podaliśmy, wprowadziła zamęt do naszych stosunków ekonomicznych. Nie rozbieramy tu jej punktów szczegółowych, chociaż wiele z nich wywoła potrzebę dokładniejszych objaśnień, a nawet sprostowań prawodawczych; zastanowimy się tylko nad jej kamieniem węgielnym, który dla chwili obecnej posiada wielką wagę. Jak pamiętamy, ustawa wstrzymała dowolną sprzedaż lasów i czyni ją zależną od uznania i pozwolenia osobnych komisyj. Ponieważ komisye te nie zostały ustanowione, niema więc instytucyi, do której można byłoby zwrócić się dla uzyskania takich pozwoleń. Dodać trzeba, że zawieszony został proces, wieloma stosunkami niezmiernie poplątany, że ustawa spotkała w biegu mnóstwo zobowiązań, układów, przedsięwzięć, rachub, które nietylko zatamowane stanęły, ale długiej nieruchomości bez poważnych strat nie wytrzymają. Nie mówiąc o pokrzyżowanych i udaremnionych zamiarach, nie wiadomo np., czy lasy, nabyte do wycięcia przed wydaniem ustawy, mogą być wyrębywane, czy też na równi z innymi podlegają ograniczeniu? Podobnych pytań każdy dzień stawia bardzo wiele, a nikt nie umie na nie odpowiedzieć. Rejenci, którzy powinniby dostarczać objaśnień, pogrążeni w wątpliwościach niemniej od każdego interesanta, odmawiają spisywania umów i tym sposobem utrzymują powszechny zamęt. Stan taki, gdyby przeciągnął się zbyt długo, przygniótłby jedną stronę naszego życia ekonomicznego bardzo ciężko, a ponieważ nawet żadna pogłoska dziennikarska nie napomyka, kiedy komisye leśne wejdą w życie, przeto organy sądownicze powinnyby na właściwej drodze postarać się o zdobycie potrzebnych wskazówek. Nie będziemy tu wytykali tej drogi, gdyż znajdą ją sami ci, którzy posiadają praktyczne doświadczenie i znajomość drabiny prawodawczej. Ale zdaje nam się, że ten obowiązek spoczywa przedewszystkiem na notaryacie. Bo przeprowadźmy wywód logicznie. Czy rejent może odmówić przyjęcia aktu prawnego i czy to zależy od jego woli? Jeżeli nie, w takim razie interesanci, którzy skutkiem takiej odmowy ponieśli straty, mogą poszukiwać swych szkód na tych, co je na nie narazili. Uwidocznijmy to przykładem. Przypuśćmy, że sprzedaję komuś mój dom, którego własność udowodniłem; ale rejent nie chce mi sporządzić aktu, z powodów, które nie spoczywają w treści prawa; jeżeli naraził mnie przez to na bankructwo, czy mogę go pozwać? Wogóle czy mogę na nim dochodzić szkód, których on był pośrednim sprawcą? Zapewne—tak. Przypuśćmy teraz, że niektóre przepisy ustawy leśnej rejenci zrozumieli błędnie, a odmawiając przyjęcia umów, narazili wiele osób na straty; czy nie są za to odpowiedzialni? Biorąc rzecz czysto formalnie, rejentowi nie wolno tłomaczyć się nieznajomością prawa, tylko znajomością; nie wolno mu kogoś odprawić oświadczeniem: nie wiem, czy żądany akt w tej chwili może być przyjętym lub nie. Ale ponieważ ściśle stosowanie logiki w naszych stosunkach bywa zwykle teoretyczacyą bezużyteczną, więc przynajmniej pobudzać trzeba kogo należy do wyjścia i wyprowadzenia innych ze stanu dokuczliwej niepewności. Pierwszym krokiem ku temu celowi ze strony ogółu byłoby wnoszenie do sądu skarg na rejentów, odmawiających przyjęcia umów, do których przypuszczalnie ustawa upoważnia. Sąd wyrokiem swoim albo rozciąłby węzeł gordyjski samodzielnie, albo odwołałby się do źródła po objaśnienie.

O ile słyszeliśmy, dotąd nic w tym względzie stanowczego nie zrobiono. Odzywają się tylko żałosne westchnienia i pocieszające nadzieje, ale energicznych starań nie widać. A one jedynie mogłyby sprowadzić promień dla rozświetlenia mętnego chaosu, który szerokie koła otoczył mgłą dokuczliwą.

P. W.

---

spojrzeć na siebie bez zarumienienia się, że mieszali się, mówiąc ze sobą i że znajdowali się — jak sądzili— nie szukając. Pewnego razu otworzyły się młode serca. Ona wypowiadała mu się ze wszystkiego, co jej dolegało, a on przyznał się jej, że nie ma ochoty do stanu kapłańskiego, obok tego zaś zdradzili się również, że się kochają nawzajem. Płynęły wtedy łzy obficie, przebąkiwano o samobójstwie i najrozmaitsze wyprawiano niedorzeczności. A nazajutrz Anna, blada i zrozpaczona, przyszła na plebanię i zażądała widzenia się z panną Jettą. Obie długo, potajemnie rozmawiały z sobą, a panna Jetta tego dnia i następnych chodziła z zapłakanemi oczami, wszystko robiła na opak i trwożliwie unikała studenta. Anna odtąd nie okazywała się na plebanii, a Antoni miał minę nieszczęśliwego grzesznika. Jetta z natury nie była w stanie czynić wyrzutów komukolwiek, również nie umiała radzić nikomu. Skarżyła się tylko: moja głowa! moja głowa! i przytrzymywała ją obu rękoma, jakby się obawiała, że ją zgubi. Raz, kiedy już nie mogła wyminąć biednego Antosia i on pierwszy do niej zagadał, rzekła:

— Pomów z nim sam, dziecko moje! Słyszanoż to rzeczy! nie chcieć być księdzem! zakochać się! kiedy nie wolno! ach! Antoni! Antoni!

Młodzieniec wcale nie poczuwał się do winy tak strasznej; nie obawa też wstrzymywała go od wyznania wszystkiego dobrotliwemu opiekunowi swemu i nie lękał się ani wyrzutów, ani oporu, ale niewymownie tylko żal mu było, że musiał zniweczyć i rozwiać ulubione marzenie zacnego księdza.

W dziecku swojem proboszcz widział już wychowańca swojego na kazalnicy i przed ołtarzem, szczęśliwy był z tego, że dał światu kapłana, aż oto Antoni, tak blizki celu, powiedzieć miał nagle: „Nie chcę!" Aby zdobyć się na to, za mało był egoistą. Myśli Anny natomiast o wiele były rezolutniejsze. Nie wolno poświęcać szczęścia własnego z obawy zmartwienia kogobądź. Byłoby to głupstwem. Zresztą i proboszcz wcaleby się nie radował, widząc młodzieńca nieszczęśliwym. „Ja z nim pomówię" — oświadczyła kategorycznie dziewczyna i dotrzymała słowa. Mówiła nie dużo, płakała za to tem więcej i rzuciła się na kolana przed proboszczem. Miękkiego serca człowiek ten stracił zupełnie głowę, podniósł dziewczynę i prosił o czas do namysłu. Pocałowała go w rękę i odeszła, on zaś pozostał ogłuszony i wzruszony. Tego nie przeczuwał. „Gdyby istotnie był jego ojcem," pomyślał, „dawnobym odgadł, co on myśli i czuje." Może to było i prawdą, chociaż codzienne uczy doświadczenie, że właśnie ojcowie rzadko rozumieją swe dzieci. Z tem wszystkiem to „nieojcowstwo" miało i dobrą stronę. Ojcom z wielką trudnością zazwyczaj przychodzi znosić rozczarowania tego rodzaju, opierają się im, utrzymują, że oni wiedzą lepiej, co jest pożyteczniem dla ich dzieci, aniżeli te dzieci same, usiłują tłomaczyć...

Proboszcz pominął to wszystko. Zawołał Antoniego do siebie, a gdy biedny chłopak, wszedłszy, gorzko płakać zaczął i padł na kolana przed nim, podniósł go z czułością i spytał, czy tylko ze względu na dziewczynę zmienił postanowienie swoje. „Gdyż, dodał, rzucić zawód ulubiony dla kobiety— to krok, którego nierzadko się żałuje w czasie późniejszym. Zawód, powołanie, zawsze jest rzeczą najpierwszą i najważniejszą w życiu mężczyzny." Antoni przyznał mu się wśród łez, że walczy z sobą już od lat kilku, że ciągle miał nadzieję odzyskania dawnej skłonności do stanu kapłańskiego, że jednak nadzieja ta się nie ziściła.

— Dlaczegoż nie powiedział o tem dawniej? — spytał ksiądz łagodnie.

— Bo chciałem ci oszczędzić bólu z powodu odstępstwa mojego.

— Cóż masz do zarzucenia stanowi duchownemu? Czy nie szanujesz go? Czy wydaje ci się smutnym? Czy dręczyli cię twoi nauczyciele?

— Bynajmniej! Jestem ze czcią dla wzniosłego powołania tego, ale niezdatny jestem

STATUT BANKU WŁOŚCIAŃSKIEGO
w Królestwie Polskiem.

Jakkolwiek w roku zeszłym przedstawiliśmy szczegółowo na podstawie urzędowego projektu zasady organizacyi i działań Banku włościańskiego i jakkolwiek ostatecznie zatwierdzona jego ustawa niedaleko odeszła od pomysłu pierwotnego, podajemy jej treść główną według osnowy urzędowej z *Praw. Wiestnika.*

2) Pożyczki mogą być udzielane osobom pochodzenia ruskiego, polskiego i litewskiego, mającym prawo nabywania gruntów, podchodzących pod skutki Najwyższego Ukazu z d. 19 lutego r. 1864 o urządzeniu bytu włościan, i takim, które uzyskają świadectwo miejscowego komisarza do spraw włościańskich, że nie zachodzą przeszkody do wydania im pożyczek.

3) Pożyczki nie mogą być udzielane na zakup gruntów:

a) które przeszły w posiadanie włościan na mocy wspomnianego wyżej ukazu i *b*) obciążonych służebnościami, wyjąwszy wypadki, kiedy służebność jest ustanowiona na korzyść samych nabywców, albo też, jeżeli tylko w nieznacznej mierze ogranicza swobodę użytkowania z gruntów (prawo przejazdu, pojenia, przeprowadzania rowów ściekowych, dobywania gliny i piasku w oznaczonych miejscach itp.).

4) Pożyczki udzielają się na zasadzie osobnych oszacowań, dokonywanych przez oddziały Banku.

5) Przy przyznawaniu przez radę Banku pożyczek, do zatwierdzenia ministra finansów przedstawiane są tylko te decyzye, co do których nie zebrało się $^2/_3$ głosów, obecnych na posiedzeniu członków rady.

6) Rozmiar pożyczek nie ma przewyższać 90% sumy szacunkowej.

7) Przy wydawaniu pożyczki część jej, nieprzenosząca 75% sumy szacunkowej, pokrywa się z funduszów Banku włościańskiego rolnego, a pieniądze, brakujące do przeprowadzenia operacyi, w rozmiarze nie większym nad 15% sumy szacunkowej, wydają się z kapitału, będącego w dyspozycyi Banku na potrzeby użyteczności publicznej w Królestwie Polskiem.

Uwaga. Co do pożyczek z kapitału użyteczności publicznej Królestwa Polskiego, biorący pożyczki pod względem rozmiaru spłat, kar i przedterminowego umorzenia, podlegają przepisom, dotyczącym pożyczek z funduszów Banku włościańskiego rolnego.

8) Osoby, pragnące nabyć grunta z pomocą Banku włościańskiego rolnego, obowiązane są, prócz dokumentów, wymienionych w art. 19 ustawy bankowej, i świadectw wymaganych w art. 2 niniejszych przepisów, przedstawić wydane przez wójtów gmin i sprawdzone przez komisarza do spraw włościańskich wykazy osób, nabywających grunta, z wymienieniem jednostek płci męzkiej, w każdej rodzinie, ich wieku, oraz ilości należącego do nich gruntu, jeżeli go posiadają. Sprzedający zaś grunta, przedstawiają: *a*) opis majątku lub sprzedawanej jego części; jeżeli zaś majątek jest obciążony w Towarzystwie kredytowem ziemskiem w Królestwie Polskiem, kopię opisu (art. 10 przepisów z d. 12 lipca 1866 r.), co do majątków zaś oszacowanych przez rzeczone Towarzystwo, kopię szacunku (art. 18 tychże przepisów); *b*) plan sprzedawanych gruntów z należnemi do niego, regestrem pomiarowym i klasyfikacyjnym, podpisany przez właściciela i geometrę przysięgłego i poświadczeniem co do istniejących służebności; *c*) wypis z wykazu hypotecznego majątku i *d*) świadectwo miejscowego naczelnika powiatu o rozmiarze podatku gruntowego oraz innych podatków i opłat gminnych, płaconych ze sprzedającego się gruntu.

9) Obciążenie majątku długami hypotecznymi nie stanowi przeszkody do przyznania pożyczki, jeżeli tylko suma wszystkich takich długów nie przewyższa wyznaczonej pożyczki wraz z mającemi do niej przybyć dopłatami w gotowiźnie od nabywców.

10) Po przyznaniu przez radę Banku pożyczki, oddział wydaje nabywcom świadectwo o jej rozmiarze i warunkach.

11) Na zasadzie wspomnianego w poprzednim artykule świadectwa, strony, według ustanowionego w guberniach Królestwa Polskiego porządku, zawierają akt sprzedaży, którego kopia komunikuje się radzie Banku.

12) Jeżeli do aktu sprzedaży wprowadzone będą warunki, niezgodne ze świadectwem przez Bank wydanem (art. 10), to rada Banku może odmówić wydania pożyczki, przyczem sam akt sprzedaży uznaje się jako nieważny.

13) Zatwierdzenie aktu przez zwierzchność hypoteczną i ostateczne wprowadzenie go do wykazu hypotecznego, nie może być uskutecznionem przed otrzymaniem zezwolenia na to rady Banku; o tem przyzwoleniu robi się adnotacya w wykazie hypotecznym.

(D. n.).

POSTĘP WIEDZY TECHNICZNEJ.

III.

Po cukrze, najważniejszym w naszych czasach produktem przemysłu rolnego stały się wszelkiego rodzaju napoje spirytusowe, czyli wyskokowe, a nawet w pewnych razach cukier musiał im ustąpić pierwszeństwa. Śród tych napojów gorzałka po dziś dzień dominujące zajmuje stanowisko. Zaprząta ona głowy nietylko zwykłych śmiertelników, lecz nawet mężów stanu: jednym służy jako pocieszycielka, innym — jako dojna krowa, a znów inni ślęczą nad środkami zupełnego uprzątnięcia jej z przed oczu ludzkich.

Bo też twardy orzech do zgryzienia przedstawia kwestya „alkoholowa." Sięgający po wawrzyny lekarza chorób społecznych, staje wobec niej, jak ów osioł, któremu w jeden żłób dano owies, w drugi — siano. Czy zgnieść ową hydrę, która gryzie współczesne nam społeczeństwa, czy też łatać jej datkami dziury w gmachach finansowych, pospolicie „deficytami" zwane? Nie dziw też, że najczęściej nie udaje mu się ani jedno, ani drugie.

Niemniej trudnem jest położenie producenta. Musi on sprostać wymaganiom swoich odbiorców i dostarczać im pocieszycielki za możliwie najtańszy pieniądz, a jednocześnie łożyć coraz większe ofiary na ołtarzu kosztów „utrzymania pokoju europejskiego." Wobec tak różnorodnych wymagań widzi on przed sobą jedną tylko ścieżynkę zbawienia — oszczędność.

Wyskok, jak wszystkie inne spirytualia, tworzy się przy fermentacyi roztworów cukru skrobiowego, słodowego lub gronowego; przeważna ilość gorzelni przerabia jednak obecnie ziemniaki. Nie zawierają one wprawdzie gotowego cukru, lecz skrobię, którą zwykle w samej gorzelni dopiero zcukrzają. Nie szczędzono starań w poszukiwaniu jeszcze tańszego materyału surowego, lecz jak dotąd z małym skutkiem. Przed paru laty rozpoczęto w Belgii produkcyę wódki z tompinamburów. Jest to roślina i u nas dość rozpowszechniona w dzikim stanie, zwana bulwą. Zawiera ona anulinę, którą także można zcukrzyć. Wynalazcy belgijscy głoszą, iż produkcya według ich sposobu jest bardzo tanią. Rzeczywiście, jeśli jaki płód może współzawodniczyć z kartoflami, to nim są bulwy, ponieważ one tak-

---

na księdza. Byłbym się stał kapłanem niegodnym, niezadowolonym, byłbym tęsknił za światem, za ruchem i życiem, za moją Anną... jednak, jeżeli każesz...

— Głupstwo! Przestępstwem przeciwko tobie i sukni mojej byłoby, gdybym miał przymus wywierać w tym razie. Stań się, czem chcesz i ożeń się z dziewczyną twoją. Mimo to przecież nie przestaniesz być synem moim.

O, zaprawdę! to trafiało w myśl jego; poprzysiągł to sobie w duszy. Proboszcz ucałował go i zmusił się do uśmiechu, ale serce jego doznało bolesnego ukłócia. Czyliż Antoni nie wyśliznął mu się z rąk? Na nowej drodze nie będzie w stanie towarzyszyć ulubieńcowi swemu, radzić mu, ani pomagać; narzeczona odepchnęła opiekuna dobrotliwego; zbiegły orzeł wzbił się pod obłoki i sam torował sobie drogę. Biedny proboszcz pozostał i nie mógł przedsiębrać nic innego, jak patrzeć za nim... Zdarza się to niejednemu staremu i każdego to boli. Jeżeli wszakże są dobrzy, umieją godzić się z losem. Szczęść Boże na drogę, młodości, we własne ufna siły. Oby ci się udało dopiąć celu!

Jednocześnie wszelako proboszcz sam przyznać musiał, że Antoni miał racyę. Co pomoże być księdzem i nosić sutannę, kiedy serce opiera się temu? Nie każdy stworzony jest do cichego, pełnego poświęceń życia kapłańskiego. Proboszcz o własnej pomyślał młodości. Cóż dała mu ona? Pocieszał chorych i umierających, żył bezustanku na ustroniu, był biednym i dawał rozgrzeszenie pokutnicom pomiędzy czterdziestym a siedemdziesiątym rokiem...

— Ja byłem przeznaczony — mówił do Jetty. Mnie to wystarczało, ale chłopak nasz sięga wyżej. Pozwólmy mu na to. Powołanie nasze jest najsmutniejszem, najniewdzięczniejszem i najmniej korzystnem, o ile we własnem sercu za wszystko nie znajdujemy wynagrodzenia.

* * *

Kupiec zdziwiony był i ucieszony z powodu, że mu zięć i następca spadł jakby z nieba. Jeden tylko postawił warunek. Mianowicie, żeby Anna na rok pojechała do krewnych dla obznajmienia się z gospodarstwem i gotowaniem, Antoni zaś przez ten czas odbył próbę, czy zdolny jest na kupca. Po upływie roku bez zmiany postanowienia z niczyjej strony, mówił, niechaj się pobiorą.

Wszystko szło po myśli. W rok potem proboszcz dawał ślub młodej parze. On sam, jak i Jetta, z zakłopotaniem spoglądali na szczęście, które oboje znali ze słyszenia tylko.

— Dobrze tak — rzekł ksiądz do Jetty. Są szczęśliwi oboje. Antoni dzielnie i uczciwie prowadzi interesy, więc i ja jestem zadowolony. Ostatecznie wszak nie chodzi nam o nic innego, jak o szczęście Antoniego.

Jak dawniej nazywali go „nasz Antoni," nigdy zaś „nasz syn," aby wreszcie świat nie pomyślał o czemś, co, jak sami wiedzieli najlepiej, z gruntu było nieprawdą. Zarówno Jetta, jak i proboszcz, uczynili Antoniego jedynym spadkobiercą po sobie i tak samo Antoni, jak i młoda jego żona, nie szczędzili okazania wdzięczności swojej starzejącej się i samotnej parze. Proboszcz nawet z czasem przyzwyczaił się nazywać młodych „naszemi dziećmi"; Jetta natomiast, jakkolwiek i ona niemniej ich kochała, pozostała zawsze zawstydzoną, starą panną, mówiła tylko „dzieci" i rumieniła si po uszy, ilekroć z ust proboszcza wymknęło się słówko: „nasze."

Tłom. *Ad. J. C.*

że dają obfite zbiory na ubogich glebach; dotychczas nie zauważono, aby ulegały jakimś chorobom, a liście i młode szczepy stanowią chętnie spożywany przez bydło pokarm. O ile mi wiadomo, dotychczas jednak wynalazek ten u nas zastosowania nie znalazł, a przy taniości ziemniaków, wątpię, czy opłacilaby się uprawa bulwy w szerokim zakresie.

Ziemniaki zawierają, obok skrobi i niewielkiej ilości substancyj azotowych, około 80% wody. Dawniej gotowano je z wodą i rozcierano. W ten sposób wprowadzano znaczne ilości wody i zwiększano znacznie ich objętość, przy następnem ogrzewaniu wydatkowano więc dużo opału, a w krajach, gdzie akcyza pobiera się od objętości kadzi zaciernych, płacono także większy podatek skarbowy. Obecnie wprowadzono zacieranie ziemniaków przy jednoczesnem zgęszczaniu zacierów. Dzieje się to w ten sposób, że surowe kartofle poddają działaniu pary o wysokiem ciśnieniu; gdy następnie wypuszczają parę z kotła, ulatnia się także i woda, w samych ziemniakach zawarta, rozsadza błonki komórek i otrzymujemy zacier z mniejszą ilością wody, niż pierwotnie ziemniaki zawierały. I ten środek nie zadowolnił jednak wynalazców. Pieper proponuje, zamiast parą, ogrzewać ziemniaki gorącem powietrzem. Jako takie służyć mogą gazy odciągające z ogniska; muszą one wprzódy przejść przez filtry, gdzie pozostaje sadza i popiół, następnie idą do kotła, napełnionego kartoflami. Według dokonanych prób, ziemniaki utraciły przytem w przeciągu pół godziny blizko 25% wody, a więc zawartość krochmalu, wynosząca przedtem 18%, podniosła się do 24%. Wynalazca twierdzi, że otrzymany w ten sposób zacier daleko trudniej podlega gniciu.

Ważną wadę ziemniaków stanowi zmniejszanie się zawartości krochmalu w nich przy dłuższem przechowywaniu. Ziemniak, który w czasie zbioru zawierał 17—18% skrobi, zawiera jej w lutym 15%, w kwietniu 13%; strata zwiększa się jeszcze, gdy ziemniak zaczyna kiełkować, a jednocześnie wytwarza się w kiełkach trujące ciało, solanina. Zmusza to właściciela gorzelni znacznie skracać czas pędzenia okowity, czyli kampanię; kapitał, włożony w budowle i machiny, pozostaje większą część roku bezczynnym, a robotników trzeba albo najmować tylko na czas kampanii, lub też szukać dla nich innego zajęcia. Próbowano wprawdzie suszyć kartofle i w takim stanie je przechowywać, lecz samo suszenie niełatwem jest do wykonania. Vierneisel, Trobach i Cords zalecają natychmiast po zbiorze ziemniaki myć i rozcierać, przemyć wodą, zawierającą dwusiarkan wapnia, i odprasować. Wytłoki nie psują się przy przechowywaniu i według zapewnień wynalazców, łatwiej się zcukrzają przy stosowaniu kwasu siarczanego i pary wodnej. Innym środkiem przedłużenia kampanii byłoby połączenie gorzelni z fabrykami syropu. W takim razie możnaby początkowo przerabiać tylko ziemniaki na syrop i przechowywać go do następnego okresu fabrykacyi, wtedy zadawanoby go drożdżami i pędzono spirytus.

Obecnie jednak takiego podziału pracy niema w naszych gorzelniach i każdy zacier ulega odrazu zcukrzeniu, a następnie i fermentacyi.

Od dawna już jest znaną rzeczą, że przy dodaniu do rozczynów cukrowych drożdży, cukier skrobiowy rozszczepia się na wyskok, kwas węglany i niewielkie ilości innych mniej ważnych substancyj; przytem powiększa się także ilość drożdży. Proces ten służył więc do otrzymywania spirytusu, z drożdży gorzelnicy także korzystali, a nawet istnieją zakłady, gdzie wyrób drożdży głównym jest celem, spirytus zaś, jako produkt poboczny uważanym bywa, na kwas węglany jednak mało dotychczas zwracano uwagi. Wnioskować by z tego można, iż jest to substancya bezwartościowa lub przynajmniej tak małej wartości, że nie opłaci się jej zbierać; tymczasem w wielu innych zakładach istnieją osobne przyrządy do jej otrzymania. W cukrowniach potrzebują kwasu węglanego do oczyszczania soków buraczanych; wszystkie napoje musujące, czyli t. zw. sztuczne wody mineralne zawierają ogromne jego ilości, służy on do fabrykacyi sody, dwuwęglanu sody, nakoniec w skroplonym stanie używa się do wytwarzania sztucznego zimna, gaszenia pożarów, toczenia piwa, przy wyrobie armat itd. itd. Fawsitt pierwszy zaproponował zbieranie tej substancyi, która obecnie przyczynia się li tylko do zanieczyszczania atmosfery gorzelni, chociaż i nim także nie kierowała zbytnia dbałość o płuca gorzelników. Wniosek swój popiera Fawsitt następującemi danemi: W roku 1883 produkcya wyskoku wyniosła w Anglii 112 milionów litrów, przyczem wydzieliło się 48,300 tonn kwasu węglanego, czyli 960 tonn tygodniowo. Ponieważ wydostanie takiej ilości gazu z kamienia wapiennego zapomocą kwasu solnego (jak się to obecnie czyni) powinno kosztować 11,300 rubli, przeto tracą gorzelnie na teraźniejszem urządzeniu wcale pokaźną sumę pieniędzy. Należy zatem przedsiębrać fermentacyę w odpowiednio urządzonych, zamkniętych kotłach i odprowadzać kwas węglany w rurach dla zużytkowania go. Wprawdzie z naszych kominów codziennie jeszcze większe ilości tego kwasu w powietrze uchodzą, lecz tam jest on znacznie zanieczyszczony innemi substancyami oraz gazami, od których go niełatwo odosobnić; gaz fermentacyjny zaś prawdopodobnie łatwiej byłoby oczyścić. Propozycya Fawsitta przebrzmiałaby być może bez żadnego skutku, gdyby jej nie poparł dr. Delbrück, powaga na polu techniki fermentacyjnej, i to z zupełnie innego powodu. Spostrzegł on, że wypuszczony na wolność kwas węglany nie zupełnie sam uchodzi, lecz pociąga z sobą także pewną ilość wyskoku, mianowicie około 1% swojej wagi. Przy znacznej ilości wywiązującego się gazu łatwo pojąć, jak dużo spirytusu w ten sposób się traci; odzyskać go zaś można tylko przez zbieranie uchodzącego gazu.

Odfermentowane rozczyny gorzelnicze zawierają obok wyskoku mniejszą lub większą ilość wody i wszystkie te substancye, które obok skrobi wchodzą w skład ziemniaka. Dla oddzielenia ich od wyskoku poddają rozczyn destylacyi; wyskok, jako najlotniejszy, zostaje najpierw przepędzony, jednocześnie przechodzi także część wody, inne substancye pozostają. Po ukończeniu destylacyi służą one za pokarm dla bydła — jest to tak zwany wywar. Przyrządów do destylacyi spirytusu możnaby naliczyć z setkę; chociaż niewiele się różnią pomiędzy sobą, a celem wszystkich jest otrzymać możliwie najtęższy spirytus przy najmniejszem zużyciu paliwa.

Wprawdzie można teoretycznie obliczyć, ile spirytusu daje pewna ilość skrobi, lecz w praktyce zawsze okazuje się niedobór. Część tego niedoboru przypada na niezupełne zcukrzenie skrobi, część kładą na karb niedokładności roboty drożdży. Jeśli w działalności tak wysoko ukształconych organizmów, jak ludzkie, zdarzają się niekiedy niedobory, to tem bardziej są one do wybaczenia różnym fermentom. Cokolwiek spirytusu traci się także przy destylacyi. Jednak im staranniej i umiejętniej gorzelnia bywa prowadzoną, tem mniej te braki wynoszą. W niektórych krajach rząd dla poparcia takiej działalności wydaje premia (u nas superaty).

Pomimo dbałości o oszczędność, musi też gorzelnik przysłuchiwać się czujnie wszelkim nawoływaniom humanitarnym. Aby im sprostać, stara się o uczynienie napoju swego możliwie najmniej szkodliwym, a ze względu na własną skórę, już obecnie dbać musi o zabezpieczenie swego bytu w takim razie, *gdyby warunki społeczne rzeczywiście do tego stopnia się ulepszyły*, że nie szukanoby już u niego pociechy. Stara się więc znaleść dla spirytusu inne zastosowanie, gdzieby był mniej narażony na napady ze strony zbawicieli ludzkości i moralistów. Dzięki swym własnościom wyskok też od dawna jest jednem z najpożyteczniejszych ciał w przemyśle i można śmiało powiedzieć, że niektóre gałęzie produkcyi mogą tylko wtedy istnieć, jeśli cena spirytusu jest zbyt wygórowaną. W uwzględnieniu tego niektóre państwa przyznają nawet zwrot akcyzy za spirytus, użyty do celów przemysłowych; aby zaś przeszkodzić konsumcyi takiego spirytusu, denaturalizują go przez dodanie różnych ciał trujących, lub z przykrym smakiem i zapachem. W domach prywatnych mógłby spirytus także znaleść zastosowanie, jako paliwo w razie podrożenia nafty.

Oprócz taniości ważnem jest jednak jeszcze dla pewnych celów, aby spirytus był możliwie czystym i mocnym (tęgim). Zwykły, surowy, zawiera oprócz wyskoku jeszcze inne substancye o przykrym smaku i zapachu, znane pod ogólnem mianem fuzli, olejków swędnych lub niedogonowych. Okazuje się, że fuzle te nietylko przeszkadzają zastosowaniu spirytusu do celów przemysłowych, lecz czynią go także o wiele szkodliwszym dla zdrowia *). Przez usunięcie ich osiąga więc gorzelnik nietylko możność łatwiejszego zbycia do fabryk, lecz czyni także użycie wódki, z takiego spirytusu przyrządzonej, mniej niebezpiecznem. Samo jednak usuwanie fuzli, czyli rafinacya spirytusu, nie jest rzeczą łatwą. Wobec ważności tej sprawy niejeden kusił się o jej rozstrzygnięcie. Mógłbym też naliczyć tu dziesiątki różnych nowych mniej lub więcej udatnych, głośno reklamowanych lub też zcicha popieranych pomysłów, z których jednak żaden dotychczas się nie ostał. Wszystkie te projekty zdążają do ukrycia obecności fuzlu przez nadanie mu przyjemniejszego zapachu, lecz go nie usuwają, z drugiej strony znowu przy każdej operacyi, dążącej do usunięcia fuzlu, traci się także część spirytusu, który ulega różnym przemianom pod wpływem stosowanych odczynników. I dziś więc, jak przed 50 laty, najlepszym środkiem oczyszczenia wódki jest przecedzenie jej przez odpowiednią ilość węgla drzewnego. Środek ten stosowanym też bywa w zakładach rafinacyjnych niemieckich, gdzie spirytus przechodzi przez kilkadziesiąt walców. Węgiel pochłania olejki swędne, lecz tylko do pewnego stopnia, dopóki nie zostanie przesyconym. Następnie trzeba albo użyć świeżego węgla, lub też, jeśli węgiel jest drogi, można odżywić poprzedni. Dawniej przepalano go powtórnie. Höper zaproponował jednak poddawać go działaniu przegrzanej pary wodnej. Para taka wypędza napowrót olejki z dziurek węgla: można nawet olejki te zbierać i służą one albo jako paliwo, lub też przez utlenienie można otrzymać z nich perfumy z najpiękniejszym zapachem świeżych owoców. Sprawdza się w ten sposób maksyma, iż niema na świecie rzeczy niepotrzebnych.

Nim jednak rozwój przemysłu umożliwi korzystne zbywanie spirytusu do fabryk, lub wynalazczy duch ludzki uczyni oczyszczanie go tak tanim, że ono na cenę wódki pozostanie bez wpływu, musi gorzelnik tylko ubolewać, iż nie posiadamy obecnie takich głów, jak ów Münchhausenowski generał, któremu turcy w jakiejś utarczce wierzchnią połowę czaszki zmietli, mógł więc raczyć się bez obawy najtęższymi napojami, albowiem wszelkie pary, które są w stanie zamroczyć umysł zwykłego człowieka, u niego uchodziły w kształcie obłoku przy podniesieniu kapelusza ze srebrną płytą, mającą czaszkę uzupełniać. W braku

*) Chętnych zapoznania się z fizyologią alkoholizmu odsyłamy do artykułu M. Leśnika w czasopiśmie *Zdrowie*, rok 1886.

zaś takich generałów pozostaje mu tylko wtórować modłom Heinowskiego kapitana niewolniczego okrętu:

Boże! co ludzi najznakomitszych
Ojcowskie chroni Twe skrzydło!
Śród cierpień, chorób, dolegliwości,
Ach racz ocalić to bydło.
Wszak w swej głupocie nie wie, co czyni,
Nie bacz na grzechów ich stopnie,
Ocal tych zwierząt, choć trzysta, Panie!
Inaczej stracę okropnie. *)

Mogą Kołaczkowscy, Jelscy i inni apostołowie harmonii społecznej nazywać gorzelnictwo przemysłem zubożającym, mogą moralizować, prawić wszerz i wzdłuż o obywatelstwie, o przewodniczeniu wszystkiemu, co rozumne, szlachetne, praktyczne i swojskie (?), gorzelnictwo nie przestanie nęcić rolników. Wiedzą oni, że ziemniaki rodzą się obficie i na takich glebach, gdzie uprawa innych ziemiopłodów nie popłaca, w wywarze otrzymują cenny pokarm, umożliwiający utrzymywanie znacznej ilości bydła, stąd znów przez odpowiednie zużytkowanie nawozu mogą w przeciągu pewnego czasu znacznie ulepszyć glebę, czy to z natury ubogo uposażoną, lub też w zbyt „hojnej“ gospodarce nadszarpaną.

Izer.

BADANIA NAUKOWE.

FILOZOFIA.

Jakie to są rzeczy na ziemi i na niebie, które się nie śnią naszej filozofii?

Przysłowia i wyrzeczenia sławnych ludzi, wplatane zarówno do rozmów potocznych, jak i do rozpraw naukowych na potwierdzenie wygłoszonych mniemań, najczęściej mają podobne znaczenie, jak w stosunkach handlowych moneta zdawkowa. Używają jej wszyscy, nie pytając wcale o jej wartość rzeczywistą, a nawet nie podejrzywając, że ona nie odpowiada swej wartości nominalnej.

Przysłowia zawdzięczają swój początek jakiemuś szczególnemu wypadkowi. W odniesieniu do tego wypadku i do ściśle mu podobnych mogą one być słuszne; ale przeniesione do innych okoliczności, muszą się okazać, jeżeli nie fałszywemi, to przynajmniej niestosownemi. Używane jako ozdoba retoryczna, mogą w danym razie oddać jakąś usługę; ale przytaczane jako dowód pewnego twierdzenia, nie są niczem więcej, niż zręcznym wybiegiem umysłu, którego nie stać na coś lepszego.

Nic inaczej rzecz się ma i z wyrzeczeniami znakomitych ludzi. Cała ich wartość leży w tem, że dają nam poznać, jakie było mniemanie ich autorów w danej kwestyi. Znaczenie ich więc jest czysto historyczne, nie zaś logiczne. Stąd bowiem, że jakiś genialny w pewnym zawodzie człowiek wypowiedział zdanie o przedmiocie, którym się nigdy wyłącznie nie zajmował, nie wynika jeszcze, ażeby jego zdanie również było trafnem, jak to, które wypowiada o rzeczach do jego zawodu należących. Zresztą każde twierdzenie, chociażby człowieka najgenialniejszego, o tyle jest rozumnem, o ile jest uzasadnionem, o ile stanowi uogólnienie znanych faktów, albo dedukcyjny wniosek z owego uogólnienia. Po za tym warunkiem każde zdanie, chciażby z pozoru bardzo głębokie, będzie tylko genialnym błyskiem, którego światło może olśnić, ale nie oświecić. Jakoż jest to jedyny skutek posługiwania się w sporach naukowych i nienaukowych przytoczeniami zdań i zapatrywań uznanych w świecie powag. Nie przekonywają one przeciwnika, ale zbijają go z toru, oślepiają niespodzianym ciosem i zmuszają do złożenia broni.

Jednem z wyrzeczeń najbardziej popularnych nietylko u nas, ale w świecie wykształconym jest zdanie: „Są cuda na świecie, o których się ani śniło filozofom.“ Jest to przeróbka pewnego ustępu z *Hamleta*, po raz pierwszy użytego przez Mickiewicza za godło do jego poematu *Dziady*. Wziął on go dla usprawiedliwienia wprowadzonej do swego poematu cudowności. Uświęcone jego powagą zdanie powyższe, stało się odtąd ostatecznym argumentem dla tych, którzy nie umiejąc obronić swej łatwowierności od poważnych zarzutów, zastawiają się, niby tarczą Meduzy, frazesem, na pozór bardzo głębokim, a w gruncie rzeczy pustym, jak bańka mydlana. W pierwszej bowiem chwili zdaje się szaleństwem byłoby zaprzeczyć, że są rzeczy na niebie i ziemi, o których nie śniło się naszej filozofii. Nie potrzeba atoli zbyt wielkiej rozwagi, ażeby się przekonać, że zdanie powyższe, o ile jest słusznem w zastosowaniu do danego momentu wiedzy ludzkiej, o tyle fałszywem i przewrotnem w swem znaczeniu ogólnem.

Cuda na świecie są dwojakie: jedne, które nie śnią się filozofom, ale za to śnią się nieukom i ludziom, pozbawionym gruntownego przyrodniczego wykształcenia; i drugie, które wprawdzie mogły dotąd nie przyśnić się żadnemu filozofowi, ale które kiedyś z pewnością przyśnią się niejednemu z nich. Do pierwszych należą cuda w pospolitem znaczeniu tego wyrazu. Wiemy już dziś dokładnie, czem one są właściwie. Są to albo złudzenia zmysłów, albo halucynacye chorego mózgu, albo poprostu zmyślenia i sztuczki zręczne, mające na celu otumanienie naiwnych prostaczków. Do drugich należą fakty, które z całą słusznością możnaby nazwać cudami, gdyby ta nazwa nie oznaczała rzeczy tajemniczych. Są nimi zdobycze nauki, oraz dzieła sztuki i przemysłu.

Cudem nazywamy zwykle rzecz nadprzyrodzoną, t. j. taką, która w zwykłym porządku tego świata sama nie dokonywa się, która powstaje wskutek uczestnictwa jakiejś potęgi, panującej nad ślepemi siłami przyrody. Otóż, jeżeli rzeczywiście takie jest znaczenie, jakie przywiązujemy do wyrazu *cud*, to czy nie są prawdziwymi cudami wszystkie zdobycze naukowe, wywołujące niejako z ukrycia nieznane dotąd siły przyrody, wynalazki, zapomocą których zmusza człowiek owe siły do działania w kierunku, jaki on im wyznacza? Czy nie jest prawdziwym cudem, że człowiek, najsłabsza fizycznie istota, pozostająca w pierwszych chwilach swego istnienia w najcięższem jarzmie przyrody, powoli, mocą jedynie myśli, nietylko wyzwolił się z pierwotnej swej niewoli, ale co więcej, zapanował nad swą władczynią — i dziś, podbijając po kolei jej siły, zmusza ją do odkrycia swych skarbów, o jakich nietylko filozofom, ale żadnemu śmiertelnikowi nigdy się przedtem nie śniło?!.. Cuda przyrody o tyle dla nas istnieją, o ile je sami z niej wywołujemy, o ile zdołamy ją zmusić do ich objawienia. I każdy jej cud, zanim stanie się pod naszem zaklęciem jawą, dotykalną rzeczywistością, musi wprzód nam się przyśnić. Wiele jest cudów na świecie, które dotąd nikomu jeszcze nie przyśniły się, ale w kolei czasów wszystkie one przyśnią się i zostaną urzeczywistnione. Czy przed stu laty marzył ktokolwiek, że człowiek będzie mógł przesyłać żywy głos na odległość, której nawet uzbrojonem w szkła okiem zmierzyć nie można? A przecież cudu tego każdy z nas może obecnie dokazać zapomocą telefonu. Wabec cudów, jakich dokonywają fizyk i chemik w swych laboratoryach, mechanik w swym warsztacie, artysta w pracowni, a uczony w gabinecie — czem są wszystkie razem wzięte cuda legendowe, jeżeli nie dziecinną zabawką, nie płaską farsą, które żadnemu człowiekowi o zdrowych zmysłach przyśnić się nie mogły, które mogły zamarzyć się tylko albo dziecku, albo ludziom w stanie gorączkowego napadu?!..

W obecnej chwili pomiędzy ludźmi nawet średnio wykształconymi niewielu znajdzie się takich, coby wierzyli w upiory, w proroctwa, w objawianie się bóstwa. A jednak, niech tylko nastąpi jaki fakt niezwykły, niedający się na razie wytłomaczyć w sposób naturalny, zapomocą znanych sił przyrody, wnet budzi się w nas duch przesądu i łatwowierności — i z całą pochopnością niecierpliwego dziecka rzucamy się w awanturnicze przypuszczenia, które są żywą obrazą dla rozsądku, zaprzeczeniem wszystkiego, cośmy dotąd za prawdę uważali i głosili. Nie mogąc swych przypuszczeń poprzeć żadnymi rozumnymi dowodami — wołamy patetycznie z miną nawpół pokorną, a nawpół tryumfującą: „Są na niebie i na ziemi rzeczy, o jakich ani śniło się naszej filozofii!..“ Że są, o tem nikt nie wątpi i nikt temu nie przeczy; stąd atoli nie wynika jeszcze konieczność przyjmowania za prawdę wszystkiego, co się przyśniło, albo zamarzyło na jawie komuś, kto z filozofią nie miał nigdy nic do czynienia. Nie wiemy wprawdzie, jakie to są rzeczy, które dotąd nie przyśniły się naszej filozofii, ale przyśnią się jej kiedyś; w każdym przecież razie możemy z całą stanowczością przewidzieć, że do nich nie należą takie cuda, jakich dokonywa obecnie Ochorowicz, albo w jakie nam wierzyć każą wyznawcy spirytyzmu.

To, co się dotąd przyśniło filozofii, co stało się dla wiedzy naszej faktem dokonanym, daje nam miarę tego, co jej w przyszłości przyśnić się może. To tylko wiemy, co nam doświadczenie podaje i tego tylko spodziewamy się, co z tem doświadczeniem zgadza się, odchodzi pod jego warunki.

(D. n.)

Władysław Kozłowski.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Aureli Urbański: *Watażka*. Dramat w 3 aktach a 4 odsłonach, na tle dziejowem. Lwów.

Na jędrnie uchwyconym temacie i starannie podmalowanem tle uplastycznił autor w powyższym utworze jeden z jaskrawych epizodów dziejowych z epoki rozruchów hajdamaków na Ukrainie. Sam temat, wyzyskany do przesytu zarówno w literaturze powieściowej, jak dramatycznej, nie budziłby interesu czytelnika, gdyby nie łączyła się z nim sprawa poważniejsza, śmiało na pierwszy plan utworu wysunięta, mianowicie sprawa społeczno-politycznych przekonań i wierzeń ludu mało-ruskiego. Autor wprowadza tu walkę dwu ścierających się ówczeście prądów a areną jej czyni rodzinne życie parocha. Młody, dzielny ukrainiec Omelko, ulegając wpływowi ubóstwianej kobiety, sprzeniewierza się swym obowiązkom względem kraju, aby zdobyć miłość i łaski pięknej pułkownikowej. W fanatycznem zaślepieniu oddaje jej się za narzędzie do przeprowadzenia wrogich planów politycznych i sprowadza przez to szereg klęsk na własną ojczyznę. Zawiedziony w swych nadziejach, w stanowczej chwili, gdy stał się już niepotrzebnym, bezlitośnie odepchnięty i wyśmiany przez dumną kokietkę, Omelko wpada do jej zamku na czele watahy hajdamaków i mszcząc swe krzywdy, zabija ją wraz z jej kochankiem, szambelanicem. Na miejscu zbrodniczego czynu zjawia się z odsieczą rodzony ojciec watażki, ksiądz Cyryl i zdrajcę syna wydaje w ręce sprawie-

*) Przekł. Mieleszki-Maliszkiewicza.

dliwości. Omelko ginie z ręki swej dawnej narzeczonej Nastyi, która, pragnąc uchronić go od sromotnej śmierci, zadaje mu truciznę i sama ją zażywa. Oto główne rysy utworu, w którym p. Urbański z wielką barwnością słowa i plastyką obrazowania przedstawił wrzenie umysłów w owej smutnej epoce. W wrogich machinacyach i nieprzepartej sile samolubstwa i namiętności upatrując główne złe, odsłonił autor źródło wewnętrznych rozterek i zgubnej polityki, w wir której rzucała się pewna garstka zapaleńców, nie bacząc na zgubę własną i kraju. Na posępnem tle hajdamackich rozruchów odbijają się wyraziście jaśniejsze postaci ojca Cyryla, Weryhy i Daniela w przeciwstawieniu do obałamuconego tłumu, na czele którego stoi Omelko. W całem ujęciu i przeprowadzeniu działania znać rękę dobrze z tajemnicami sceny obznajmionego pisarza. Koloryt ludowy wybornie uchwycony stanowi tu żywy kontrast z kilku pełnymi wiernej charakterystyki epizodami życia szlachty kresowej a to właśnie zestawienie dwu sfer i dwu kierunków z ich dążeniami i zapatrywaniami na sprawy publiczne, będące osią działania, jest jedną z głównych zalet dramatu p. Urbańskiego.

Józef Orłowski: *Sonety*. Lwów.

W dziedzinie poezyi dziwnie rozpanoszyła się w ostatnich czasach banalność zarówno treści, jak formy. Coraz większą rzadkością stają się utwory, posiadające znamiona istotnego talentu i poważniejszej myśli. Za typowy wyrób tej wątrobiarskiej, jak ją słusznie nazwano, literatury uchodzić może zbiorek sonetów p. Orłowskiego. Z czterech cyklów, składających całość, pierwszy opiewa zabytki Lwowa, drugi obejmuje luźne, dorywcze fantazye, snute na najpospolitszych i do znudzenia zużytych tematach, trzeci mieści westchnienia autora do wymarzonego ideału, czwarty wreszcie rzuca kilka ulotnych myśli wiążących się z wspomnieniem Nowego roku. Forma przypomina miejscami czułe, sielankowe westchnienia z pierwszego okresu poezyi romantycznej, dla której puste dźwięki, nieudolność dobranych rymów bez względu na błahość myśli były ostatecznym celem. Wobec panującego dziś w literaturze kierunku, odosobnionym pozostać musi głos pieśniarza, który niezdolny jest wznieść się do poważniejszych zagadnień społecznych, lecz obraca się wyłącznie w zaczarowanem kole mglistych marzeń i bezcelowej fantazyi.

Artur Łączewski: *Napoleon*. Dramat w pięciu aktach. Tarnów.

Genialna postać zwycięzcy francuzkiego, której przeszłość dziejowa nie zdołała odjąć blasku i uroku, nie przestała kusić dotąd autorów dramatycznych. P. Łączewski obrał za temat do swego utworu najciemniejszy okres w życiu bohatera, mianowicie smutną kampanię 1812 roku i upadek. Przedstawia Napoleona jako nieustraszonego mocarza, zaufanego w swe siły i gwiazdę, który jak wicher usuwa wszelkie przeszkody ze swej drogi, druzgocząc wszystko, co tylko się przeciwstawia jego zamysłom. Przygotowania do wyprawy na Moskwę, rozwód z Józefiną, intrygi dyplomatyczne, wreszcie sam pochód, bardzo obrazowo i plastycznie przedstawione — wypełniają kanwę dramatu, który napisany z siłą i ogniem młodzieńczym, jak wszystkie prawie tego rodzaju utwory, grzeszy wprawdzie przesadą deklamacyi i rozwlekłością scen, niemniej jednak zdradza znamiona niezaprzeczonego talentu. Język poprawny i nieraz gładki, miejscami nawet wykwintny stanowi godną podniesienia zaletę początkującego autora, którego próba niniejsza zachęcić winna do dalszych usiłowań w obranym kierunku.

St. Tarnowski: *Z wakacyj*. Kraków. Tomów dwa.

W systematyczną i dobrze zaokrągloną całość ujęte zapiski podróżne złożyły się na dwutomową tę książkę, która ze względu na ubóstwo naszej literatury opisowej za pożądany nabytek uchodzić może. Zbiorowe to wydanie ogłaszanych poprzednio w *Przeglądzie polskim* listów nie byłoby, jak zapewnia autor, przyszło do skutku, gdyby nie inicyatywa Kalinki, który p. Tarnowskiego niejednokrotnie do tego wydania zachęcał. Jest zatem książka powyższa wyrazem nie tyle odczutej potrzeby, ile osobistej czci dla pamięci i życzeń zgasłego historyka.

W pierwszym tomie podaje autor opis wschodniej części Cesarstwa, mianowicie Kijowa, Moskwy i Wilna. Czytelnik nie znajdzie tu wyczerpującej i na znajomości stosunków opartej charakterystyki kraju, ale tylko rysunek zewnętrznej fizyognomii miast, jak ona się przedstawia oczom podróżnika zachodniego, który w ciągu kilkodniowego pobytu usiłuje zebrać i wynotować najcharakterystyczniejsze i najwięcej w oko się rzucające właściwości zwiedzanych po raz pierwszy okolic. W opisie Kijowa najwięcej miejsca poświęca autor Ławrze pieczerskiej, jej osobliwościom, pamiątkom i tradycyom, dalej zabytkom architektonicznym, cerkwiom, złotej bramie, najmniej ludziom, zwyczajom i kolorytowi miejscowemu. Nierównie bardziej wyczerpującym i ciekawym jest opis Moskwy i jej zabytków. Zamek Kremliński opisuje p. Tarnowski bardzo szczegółowo z uwzględnieniem wspomnień historycznych i podań, wiążących się z zachowanymi tam zabytkami. Zewnętrzna charakterystyka miasta i jego życia i zwyczajów uchwycona wiernie daje wcale dokładne wyobrażenie o dawnej stolicy Cesarstwa, która jest po dziś niezaprzeczenie żywym pomnikiem dziejowej przeszłości swojego narodu.

W opisie Wilna zgromadził autor najważniejsze wiadomości historyczne i wiążące się z niemi wspomnienia o tamtejszych zakładach naukowych, które wychowały ów pokaźny zastęp najznakomitszych w literaturze i nauce osobistości z pierwszej połowy bieżącego wieku. A więc oprowadza nas po zabudowaniach dawnego uniwersytetu, dziś mieszczącego gimnazyum, opisuje dzielnice zamieszkałe przez dawnych wychowańców sławnej uczelni, wskazuje mieszkania Mickiewicza, Śniadeckiego i wielu innych, przedstawia dolinę Mickiewicza, łącząc w barwnem opowiadaniu wspomnienia o poecie, jego przyjaciołach i pozostałych po nich pamiątkach, otaczanych czcią i poszanowaniem przez mniej nawet oświeconą ludność miejscową.

Owocem podjętej przez p. Tarnowskiego w kilka lat później podróży na północ jest (drugi tom książki) opis Prus królewskich. Pozpoczyna wędrówkę swą od Gdańska a kończy na Toruniu. Opis ten jest bardzo zajmującym głównie z tego względu, że ten tak ściśle z dziejową przeszłością naszą związany szmat kraju bardzo mało dotąd jest nam znany i z tego względu nader błędnie o nim krążą wyobrażenia. Główny nacisk położył p. T. na charakterystykę kraju pod względem etnograficznym i politycznym. Zestawienie wpływu żywiołu giermańskiego na ludność słowiańską wykazuje niestety znaczną przewagę po stronie pierwszego i lubo rdzeń ludności jest jeszcze dosyć silny, aby przez czas jakiś opierać się skutecznie nawale giermanizmu, to jednak nie ulega wątpliwości, że przy obecnych stosunkach w niedalekiej przyszłości wziąć on musi stanowczo przewagę nad polskim. Bardzo szczegółowo i plastycznie opisuje autor Gdańsk, Elbląg, Pelplin, Oliwę, Frauenburg, Kiszpork i kilka innych miejscowości, w których przechowały się dotąd liczne ślady przeszłości dziejowej w zabytkach i pamiątkach. P. Twardowski twierdzi, że przyczyną zanikania żywiołu polskiego jest brak najważniejszego w jego przekonaniu czynnika, mianowicie większych właścicieli ziemskich i szlachty, któraby dawała oparcie rozproszonej i odosobnionej ludności polskiej. Według nas źródła złego gdzieindziej szukać należy. Dowodem Ks. Poznańskie, gdzie przecież poddostatkiem szlachty a mimo to nie poczuwa się ona wcale do swych względem kraju obowiązków, ale owszem nieoględnością swą ułatwia rządowi spełnienie ostatecznej zagłady.

Książka p. Tarnowskiego obfituje w wiele innych tym podobnych zapatrywań autora, któremi on zwykł zaznaczać swe zachowawcze przekonania i poglądy. Twierdzi np. na innem miejscu, że lud nie stanowi jeszcze o charakterze kraju i nie nadaje mu etnograficznego kolorytu. „Lud sam — to za mało,“ szlachta i ziemscy obywatele, to — zdaniem autora — czynniki najgłówniejsze, rozstrzygające o narodowości. Nic dziwnego, że tą drogą rozumowania doszedł p. T. do wniosku, iż Szlązk nie jest krajem polskim. Ale co ma prawo dziwić nas u profesora literatury, to nieznajomość pseudonimów polskich pisarzów. Na str. 441 mówiąc o Wilnie wspomina, iż posiadamy niezły przewodnik po tem mieście napisany przez *jakiegoś* Jana ze Śliwina. A przecież owym Janem ze Śliwina był dobrze znany p. Tarnowskiemu w Krakowie niedawno zmarły archeolog Kirkor!

O ile w znacznej części poważniejszych prac autora styl jego cokolwiek zaniedbany sprawia wrażenie wielkopańskiej maniery, o tyle tutaj lekka i ożywiona forma jest wcale dobrze zastosowaną i pozwala całość odczytać z zajęciem. Przyczynia się do tego i ta okoliczność, że ozdobne opowiadanie swe okrasza p. Tarnowski zręcznie ułożoną mozajką szczegółów mało znanych a wcale ciekawych.

W. P.

TEATR.

Aniela Trypplinówna: *Stryj i synowiec*, komedya w 3 aktach.

Bez szczególnego powodzenia wystawił tę sztukę, w repertuarze komedyi najświeższą, Teatr letni. Nie zajęła ona zbytnio widzów, więc w obawie, że i czytelników treść jej mniej jeszcze zaciekawi, napomkniemy o niej krótko i węzłowato.

Jest to potępienie kosmopolityzmu i apoteoza przywiązania do ziemi. Wcieleniem pierwszego jest bogaty bankier-konsul, żyd chrzczony, rozumiejący tylko geszeft i drwiący z uczuć i zwyczajów, nieuwarunkowanych pogonią za złotem, oraz młodzieniec, ktory na miliony i synowicę jego się łaszczy a żądzę zysku podnosi do godności teoryi współczesnego pokolenia. Uosobieniem szlachetnego patryotyzmu jest zaś synowica owa oraz stryj jej konkurenta. Za warunek uwieńczenia stosunku małżeństwem stawiają oni pozostanie w kraju, na roli—stronie przeciwnej nie trafia to jednak do przekonania i partya się rozchwiewa, albo raczej kojarzy w ten sposób, że dziewczyna rozkochuje się w stryju, a o synowcu, który za cielcem złotym pomknął do Paryża, zapomina.

W sztuce występuje dużo bardzo znanych postaci, oraz krańcowości, świadczących o bardzo namiętnem zapaleniu się autorki do swego tematu. Bankier do niemożliwej przesady posuwa swą pogardę dla swojszczyzny, co dowodzi, że p. Tripplinówna nawet tego szablonowego typu i obłudy jego patryotycznej nie zbadała. Stryj jest kopalnym jakimś idealistą i dziwnie szczęśliwym człowiekiem. Rzuca miliony dla wyratowania szlachty od subhastacyj, a miliony mu jeszcze pozostają

w dodatku rozpłomienia ku sobie śliczną dziewoję. Żywioł komiczny reprezentuje francuzczyzna bankiera, usiana błędami o wątpliwym bardzo dowcipie, jego narowy dorobkiewiczowskie, a nadto sympatyczną postać przyjaciela, ex-sędziego, Jowialskiego litwina, który pełni w komedyi funkcyę dobrego ducha, pośrednika i abawcy.

Z utworu całego wieje iście kobieca egzaltacya — niema w nim jedności; sceny są nudne, język nastrojony na ton najwyższego patosu. Między innemi naliczyć było można kilkanaście porównań do słońca, tyleż przedmiotów „promiennych,“ „promieniejących“ itp.

W komedyach, jak *Stryj i synowiec*, nie dosyć wytrawnem piórem pisanych, z artystów spada wszelka odpowiedzialność, trudno bowiem wcielić się dobrze w charaktery, rysowane niewypukle, niejednolicie i nieprzekonywająco. W każdym razie panie Niewiarowska, Czakówna, jej córka a synowica konsula, Sznażanka, jego córka, pp. Ostrowski — jako sam konsul, Rapacki — sędzia, Leszczyński — stryj i Prażmowski — jego synowiec, robili co mogli, ażeby niezbyt licznie zebranych widzów zabawić.

C.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Ćwiczenia o konserwatyzmie i postępie przy wschodzie i zachodzie życia. — *Listy* A. Goltza. — Przykazania i mimowolne wnioski. — Czułość i przesada mów nagrobnych. — Co bywa tytułem chwały. — Dziwne skojarzenia nazwisk i jeszcze dziwniejszy wywód. — W obronie ośmieszonego. — Radca Towarzystwa kredytowego w sukmanie. — *Nous autres*. — Stacye meteorologiczne. — Biuro centralne czyli prof. Kwietniewski. — Uroczystość w Bolonii z dobytą szablą.

Kto chce mówić publicznie, a nie ma o czem, zwykle mówi o konserwatyzmie i postępie. Gdyby Didonie, zamiast skóry wołowej, dano nasz papier na ten cel zmarnowany, wykrojonym z niego paskiem objęłaby ona krąg ziemi tysiąc razy większy, niż wynosił obwód Kartaginy. Na sto prac pierworodnych, przysyłanych do redakcyj, co najmniej wypada 25 nowelek i 25 artykułów o stronnictwach społecznych. Znaczna ilość ludzi tak czuje w pewnym wieku potrzebę złożenia tego literackiego meldunku, jak obowiązek wyrobienia sobie książeczki legitymacyjnej. Człowiek w życiu swojem obiega koło: na starość dziecinnieje i przy późnej śmierci znajduje się niemal na tym samym punkcie, z którego wyszedł. Trumna stoi obok kolebki, a dzięki temu o konserwatyzmie i postępie rozprawiają najczęściej — młodzi i starzy.

Starym i niemającym nic nowego do powiedzenia był autor *Listów o konserwatyzmie*, przed kilku dniami zmarły Adam Goltz. Oprócz zbyt już wytartych i bezwartościowych utyskiwań na postępowców, którzy „poniżają *wszelkie* przeszłości tradycye i zasady“ — a uwiodła ich ku temu... „Oda do młodości“ Mickiewicza (zabawny, a jedynie oryginalny sąd w całej broszurze); oprócz katechizmowych wywodów o rozwoju ludzkim, nie ma w tej książeczce nic, co by zasługiwało na uwagę, usprawiedliwiało druk w *Słowie* i w osobnej odbitce, a nadowszystko dziennikarskie zachwyty. Autor daje swym współwyznawcom 9 przykazań: 1) oddawaj hołd prawdzie Najwyższej, 2) pracuj użytecznie, 3) zachowuj język, 4) prowadź przykładne życie rodzinne, 5) bądź przywiązanym do ziemi, 6) zdobywaj sobie niezależne położenie materyalne, 7) kochaj po chrześciańsku lud, 8) bądź gotów do służby publicznej, 9) postępuj oględnie i rozważnie. Jest to recepta praktycznego człowieka, ale nie program konserwatysty. W teoretycznem zaś rozumowaniu zdarza się autorowi to, co zdarzyło się już wielu mu podobnym: wnioski urągają jego chęciom, gdyż zachwalając konserwatyzm, przyznaje główne zasługi postępowi. „Tak więc— powiada — konserwatyzm, z porządku *naturalnego* rzeczy, przeobraża się w coraz nowe kształty, pod *naciskiem koniecznego* postępu...“ Niejeden konserwatysta, togą powagi naukowej okryty, broni się uporczywie od natarczywości nowoodkrytych dziedzin, przeskakujących granice jego dotychczasowej wiedzy osobistej, z którémi zżył się i zespolił całą swą istotą; a jednak w końcu *przed siłą postępu ustępować bywa* zmuszony.“ Tak twierdzić, jest to dowodzić tego, czego się dowieść nie chce.

Wiadomo, czem bywa zwykle w naszej prasie konserwatywnej pośmiertne wspomnienie: bezdenną czułostkowością i bezmierną przesadą. Czego się nie wpisuje na rachunek nieboszczyków i czego im się wysoko nie liczy, to już leży po za granicami „poczciwego“ kłamstwa i sztucznie roztkliwionej fantazyi. Takie zasypywanie grobów kwiatami byłoby obrzędem literacko-pogrzebowym dość obojętnym, gdyby nie zniżało społecznej skali wymagań względem jednostek. Jeżeli ludzie pragną czynami swymi zdobyć zaszczytny wyrok opinii publicznej, to u nas mogą sobie z niej drwić po cichu, aby tylko nie drażnili jej głośno. Po co wysilać się na bohaterstwo, kiedy uznanie będzie zawsze jednakie, kiedy konserwatyści swych towarzyszów zawsze odwożą karawanem pierwszej klasy, z muzyką i generalskimi honorami? Zmarły A. Goltz żył według swych dziewięciorga przykazań, napisał kilka artykułów, uczestniczył w rozmaitych zarządach finansowych i zebraniach miłosiernych — a jaki mu prasa wyprawiła pogrzeb! Jeden z mówców, nie wiedząc już, czem nieboszczyka rozsławić, poczytuje mu za zasługę, że „występował energicznie przeciwko ochronkom Froebla“ (pismo, w którem ten wieniec złożono, stale popiera takie ochronki!) i, że „przyjmował gorący udział“ w urządzaniu obchodów jubileuszowych. A teraz proszę posłuchać, w jakim kręgu nieba umieszczono autora kilku artykułów, członka towarzystw finansowych i dobroczynnych, przeciwnika ochronek Froebla i opiekuna uroczystości jubileuszowych: „Jeżeli kiedykolwiek, w wieku nieustannych przeobrażeń, przyjdzie do ocenienia prawdziwych zasług dla społeczeństwa, ważne zachodzi pytanie: czy wieniec zasługi przyznany będzie temu, który kreślił fantazyjne drogi planetarne ludzkości, czy też temu, który, jak ś. p. Adam Goltz, wskazywał drobne, lecz pewne ścieżki ku lepszemu. Istnym przypadkiem zetknęły się w umyśle naszym nazwiska Gumplowicza i Goltza: fatalisty niemieckiego z nazwiskiem polskiem, i chrześcianina polskiego z nazwiskiem niemieckiem. Nie potrzebujemy nawet mówić, komu się z tych dwóch ludzi należy pierwszeństwo w naszym rozumie, sumieniu i sercu. Nie dla pp. Wilmowskich, Radolińskich i Gumplowiczów tam gospoda. Miejsce tam dla Hallerów, Heweliuszów, Falcków, Hylzenów, i dla Goltzów.“ Tak orzekła *Gazeta warszawska*, pismo skądinąd bardzo poważne i wytrawne. Jaką drogą w umyśle autora tych słów zetknęły się nazwiska: Gumplowicza i Goltza, mające tylko wspólną literę początkową, dociekać nie będę, bo to przechodzi moje siły. Ale proszę zważyć: Gumplowicz, znakomity badacz, który daremnie starał się o prawo do pracy dla własnego społeczeństwa we wszechnicy krakowskiej, który, wymieciony za granicę, otrzymuje katedrę profesorską w uniwersytecie niemieckim, na obczyźnie zyskuje stanowisko i sławę, a pomimo to nie zrywa związku z literaturą rodzimą, chwyta każdą sposobność pisania po polsku, a niedawno wydaje cenne dzieło o socyologii, ten człowiek nietylko w „naszym rozumie, sumieniu i sercu“ ustępuje Goltzowi, który zaledwie „*krzątał się* około Encyklopedyi“ — ale stoi obok Wilmowskich i Radolińskich — urzędników pruskich! Co tu większe: obelga czy śmieszność? Co pomyśli i poczuje, przeczytawszy te wyrazy, Gumplowicz, idący w pierwszym rzędzie uczonych europejskich? On, wzgardliwie spluniety z naszego języka i Goltz z „wieńcem zasługi,“ urągający w granitowym pomniku tym, którzy „kreślili fantazyjne drogi planetarne ludzkości“ — jest to tak dzikie widowisko, że mi w niem serdecznie żal— Goltza. Ulitujcie się, panowie kadzielnicy, nad nim. Przecież powiadacie, że był uczynnym i dobrym, za cóż go więc znieważacie wsadzeniem na konia, pod którym leżą stratowani Gumplowicze i mędrcy, wykreślający drogi ludzkości. Największy człowiek okaże się małym, jeśli go zmierzymy na niewłaściwem stanowisku. Arystoteles i Kopernik są karłami jako tancerze lub malarze pokojowi. Cóż dopiero mówić o zwykłym śmiertelniku, ubranym w blaski nieśmiertelności. Nikt wam nie przeszkadza opłakiwać Goltzów, alež nie zabijajcie na ich grobie olbrzymów jako mizernych niewolników. Nadewszystko zaś nie podnoście jedną i tą samą szrubą wszystkich waszych nieboszczyków, bo ogół zatraci wszelkie poczucie różnicy między ludźmi i ich czynami, a w końcu dojdzie do tego przekonania, że wcale nie posiada wielkich. Wylewajcie łzy żalu, ale nie maczajcie w nich piór dla kreślenia swoim niedorzecznego pochlebstwa, a nieswoim zniewagi, bo mogiła nie jest tablicą do przylepiania reklam.

Z wyborów do Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Kieleckiem wyszedł jako radca Dyrekcyi szczegółowej chłop, Kajetan Peletko, posiadacz 36 morgów ziemi. Od stworzenia świata i Towarzystwa po raz pierwszy sukmana okryła tę godność. *Gazeta świąteczna* też obniosła uroczyście przed swymi czytelnikami rzadkiego ptaka. Skąd w społeczeństwie arystokratycznem i najarystokratyczniejszej jego sferze wziął się taki radca; jakie przyczyny i względy wydobyły go na stanowisko, dotąd wyłącznie szlacheckim tużurkiem lub przynajmniej szlachecką podszewką ozdabiane — nie objaśniono. Widać tylko, że nam na twarz występuje blada i poważna duma z dokonanej ofiary, że czujemy się wielcy ciężkiem bohaterstwem, że patrzymy w niebo, oczekując anioła z palmą męczeństwa. Chłop wybrany został do Towarzystwa kredytowego — czy wy słyszycie grom huczący w tych słowach? Chłopi zasiadają w parlamentach Austryi, Włoch, Francyi, Niemiec, Anglii, gdzie uczestniczą w tworzeniu praw; ale *nous autres*, faworyci Opatrzności, folbluty ras ludzkich, naród wybrany, my nie potrzebowaliśmy dotąd zniżać się ku czerni, której jedynie podawaliśmy ręce do całowania, którą deptaliśmy wzgardliwie, a gdy się dźwignęła, przeklinamy od ćwierć wieku, w której widzimy ciągle szkodne bydło i dzikie, wypuszczone z klatek pańszczyźnianej menażeryi zwierzęta. Przyszedł srogi duch czasu, ognistym mieczem wskazał nam pokutniczą drogę, zmusił po niej stąpać obok tych, którzy nas dźwigali; poddaliśmy się jego wyrokowi, ale jak męczennicy, jak bohaterowie. Wybraliśmy chłopa do Towarzystwa kredytowego, ale powinno nam to być na sądzie boskim policzone. W promieniach tej nadziei jesteśmy dumni... Głos więźnie nam w gardle, ale krzyczymy: niech żyje Kajetan Pełetko, radca Dyrekcyi szczegółowej w Kielcach!

Nous autres i tygodnia ubiegłego otrzymaliśmy patent dojrzałości w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu. Przed czterema laty ciało to powołało p. Dziewulskiego do urządzenia stacyj meteorologicznych

w kraju, jednoczących się w głównej, warszawskiej. Z początku — opowiada p. D. — zapał był ogromny: pięćdziesiąt kilka cukrowni objawiło gotowość zaprowadzenia u siebie takich dostrzegalni i płacenia składki 40 rs. rocznie. Ten wszakże ochotniczy zastęp stopniał do 20 kilku cukrowni, które z ust swych nie zrobiły młyna dla słów pustych; około 30 nie ruszyło się i nie dało ani grosza. Na zeszłorocznem zgromadzeniu cukrowników p. Dziewulski, widząc, że ich obietnice bardziej się zmieniają, niż pogoda, zapytał: czy stacye meteorologiczne mają dalej istnieć? Naturalnie, odpowiedziano mu, że mają, a jakkolwiek nie chciano składki podnieść z 40 rs. na 60, ale upewniono, że będą rozwinięte starania, ażeby inne cukrownie przystąpiły do uczestnictwa. Upłynął rok — nie przybyła żadna. „Biuro centralne, *czyli* prof. Kwietniewski, po nocach ślęczy w kancelaryi, podobnej do jaskółczego gniazda, gdzie w lecie gorąco, a w zimie zimno (mieszkanie prawdziwie meteorologiczne), gdzie dla braku szaf papiery leżą na podłodze; pracuje on, nie dostając żadnego wynagrodzenia, przy braku na ten cel środków, a nawet mozolić się musi nad prostowaniem nadsyłanych sprawozdań meteorologicznych, które nieraz przez członków układane są niedbale, a nawet niezgodnie z prawdą. Nie mając funduszów, musiano od pół roku przerwać ogłaszanie drukiem biuletynów miesięcznych. Ażeby jednak okazać, że dotychczasowa praca tej instytucyi nie poszła na marne, biuro centralne, *to jest* prof. Kwietniewski opracował i wydał roczne sprawozdanie z działalności stacyj“ — za co otrzymał z Krakowa, Wiednia i Petersburga dowody uznania. Dowody te, zwłaszcza odleglejsze, poruszyły obecnych cukrowników, którzy postanowili... Mniejsza o to. Uchwały naszych stowarzyszeń są zwykle tak trwałe, jak stan barometru, mówić więc o nich nie warto, chociaż „dla stacyj meteorologicznych zapowiadają lepszą przyszłość.“ Zobaczymy za rok, jak ta przyszłość wygląda, a wtedy doniesiemy czytelnikom, co postanowiono. Gdy jakieś stowarzyszenie niemieckie coś uchwali, wiem, że to zrobi; gdy nasze zobowiąże się do przejścia przez most na Wiśle, nie można być pewnym, czy nie wzleci balonem.

Na tle epoki karabina i zażartych nienawiści międzynarodowych, obchód 800-ej rocznicy istnienia uniwersytetu w Bolonii, która tylu ludom i nam rozdawała światło, odbiłby się wspaniale, gdyby i tam nie przeniknął dziki duch czasu. Studenci rozmaitych wszechnic, włoskich, francuzkich, niemieckich, zapomniawszy o waśniach politycznych, podali sobie dłonie. Ale i na ten piękny ślub braterstwa padła rdza wieku. Zgrzyt w sercu słyszymy, czytając, że „pochód otwierało 40 studentów *konno*,“ że „niemieccy powitali włoskich dobytemi *szablami*“—itp. Czyż nawet tam, wobec ośmiowiekowej pamięci tryumfów ducha ludzkiego, przed czcigodną świątynią wiedzy tłomaczką wzruszeń musiała być wydobyta szabla? Co za czasy, co za czasy...

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Sprawa resursy i gospód rzemieślniczych. — Jak radzą sobie za granicą, a jak u nas. — Kleszcze krzyżackie.— Przytułek dla sierot z zapisu Burgharda.— Lojalność naszych dobroczyńców w cudzem pierzu.— Przytulisko grójeckie. — Potrzeba lombardu w Piotrkowie. — Towarzystwo kredytowe m. Radomia.

Sprawa resursy rzemieślniczej w Warszawie narobiła wrzawy i wywołała wiele rozpraw. Ktoby się chciał wczytać w tę gadaninę, nie mógłby się w rezultacie dowiedzieć, co uzyska prawo obywatelstwa: resursa, czy gospoda? Zdaje mi się, że i tu będzie górą jedna z naszych wybitnych cech; zmęczeni gadulstwem, zawołamy: „Mówiliśmy dużo!“ — a potem... pójdziemy na drzemkę dla wypoczynku. Słusznie p. Wenda, stolarz, w szerokiem zajmowaniu się sprawami rzemieślniczemi (językiem — naturalnie), widzi niebezpieczeństwo, płynące z pochopności naszej do tworzenia coraz nowych projektów, zanim poprzednie przybiorą określone kształty. Przyjrzyjmy się warunkom i celowi podobnych instytucyj, właściwie „gospód.“ Ustawa 1816 r. nawet dla czeladników uniemożebnia wprowadzenie do rubryki ich potrzeb czegoś więcej nad ratunek fizyczny i pomoc materyalną, pomija zaś zupełnie: czytelnię, koncerty, zabawy zbiorowe itd. we wspólnym lokalu. Wykluczona również choćby bardzo skromna jadłodajnia, „bo to jest środek, utrzymujący dłużej towarzysza na gospodzie.“ Wskutek tego cel resursy pierwszy — podniesienie lub zaspokojenie potrzeb duchowych, nie da się urzeczywistnić przez nowy projekt rozszerzenia sfery „gospody“ — twierdzi p. Wenda w *Gazecie rzemieślniczej*. Drugi — zbliżenie majstrów z czeladnikami z jednej strony, a rzemieślników różnych zawodów między sobą z drugiej — nie da się osiągnąć przez gospody. Resursa rzemieślnicza nie pozwalałaby członkom wyłącznie zajmować się robotą. Musianoby koniecznie potrącić sprawy ogólniejsze. Rzemieślnicy w takim zgromadzeniu — ciągnie dalej p. W. — otrząsaliby się z jarzma zawsze drobiazgowych zajęć, kłopotów codziennych. „W sali resursy odnajdywaliby siebie, jako ludzi, złożywszy z fartuchem i „statkami“ na jej progu nałogi warsztatu, cechy i dążenia rzeźnika, stolarza, krawca, farbiarza...“

P. Kicki, młynarz, posłyszawszy o pięknych projektach nowej instytucyi, spieszy z prośbą, aby i dla rzemieślników prowincyonalnych był zostawiony jaki kącik do ogrzania się przy wspólnem ognisku. Dołącza nawet swoją słuszną radę. Przy układaniu statutów nie uwzględniać żadnych różnic, ani kastowych, ani zawodowych, „jak chcą niektórzy.“ Do zapisania się w poczet członków resursy każdy rzemieślnik powinien mieć prawo bez względu na gniazdo, z jakiego pochodzi, lub jakie rzemiosło uprawia, chyba że jest niemoralny i nieuczciwy. „W takim razie, choćby go i księżna rodziła, nie powinien być przyjętym.“ Jeśliby zaś odkryto potem te cechy, wydalić go natychmiast z grona członków.

Uznając wielkie dobrodziejstwo resursy rzemieślniczej (jeśli naturalnie urodzi się ona kiedy), nie mogę uważać jej za *jedyną* deskę zbawienia i całą podstawę bytu rzemieślnika, jak chce p. Wenda, mówiąc: „Tylko przy pomocy takiej instytucyi, jednocząc zbiorowe fundusze i chęci, możnaby skoncentrować życie towarzyskie, utrwalić wzajemne stosunki, ułatwić wzajemne rekomendowanie się w poszukiwaniu pracy lub zajęć, wreszcie odszukiwanie dróg zbytu dla swoich wyrobów.“ Istnieją inne środki wspierania się wzajemnego, ale my ich nie znamy, wówczas gdy zagranica uprawia je z powodzeniem, niemal od lat czterdziestu. Pojęto tam dobrze zdanie Adolfa Coste'a: „Zjednoczenie tworzy potęgę, a na tem polu prawdziwych cudów dokazuje!“ Są też cudotwórcami wobec nas — niemcy. Już w r. 1851 zawiązało się stowarzyszenie do zakupu materyałów surowych w miasteczku Delitsch pod przewodnictwem Schultzego. Nie trzeba było długo czekać; wszystkie rzemiosła w całem państwie silnie splotły swe ramiona. W r. 1873 było w różnych miejscowościach 505 stowarzyszeń, w r. zaś 1876—743. Naprzód łączyli się przedstawiciele każdego zawodu odrębnie, później, w miarę nabywanego doświadczenia, składali z rot armię. Postanowili wszyscy razem otworzyć jeden wspólny sklep dla wszelkich rzemiosł do sprzedaży tylko surowych materyałów. Bardziej odpowiedzialni, jako zjednoczeni, uzyskali wielki kredyt, rozporządzali znacznym kapitałem zapasowym, zgromadzili sporo towaru. Tym sposobem wkrótce, oprócz sprzedaży materyałów, zaczęli wysyłać wykończone wyroby na targi, otwierać filie w rozmaitych miejscach i bez strachu przyjmować większe zamówienia. To też nie dziw, że Coste, widząc to wszystko, z całą pewnością wyrzekł: „Niemieckie stowarzyszenia wspólnej sprzedaży postawią spółdzielczość na najwyższej, jaka może być, stopie doskonałości.“

Zobaczmyż, co u nas w tym kierunku zrobiono. W Warszawie, oprócz stowarzyszenia stolarzów, pomyślnie się rozwijającego, wszelkie inne spółki rzemieślnicze w zarodku zanikły. W Kielcach takież samo stowarzyszenie stolarskie rozwiązało się zaledwie po roku istnienia. Nie gniewajmy się więc na serdeczny śmiech obcych i milczmy cierpliwie, gdy nas coraz śmielej i mocniej gniotą kleszcze krzyżackie. Dostał się w nie ktoś z naszych przedsiębiorców, zakładających fabrykę galanteryi, pudełek i różnych cacek. W braku uzdolnionych robotników na miejscu, zwrócił się on do Niemiec po buchmajstrów, którzy na mocy umowy zobowiązali się pracować przez lat dwa i w tym czasie wyuczyć tutejszych swego fachu. Na czas jednak nie przybyli, a gdy ich zapytano o przyczynę, odpowiedzieli, iż nie mogą dotrzymać zobowiązania, gdyż ich jednoplemienni fabrykanci zagrozili, że po powrocie nie otrzymają w całych Niemczech roboty. W interesie wytwórców niemieckich nie leży uczenie innych, bo w przyszłości mogliby stracić nabywców.

Przed kilku miesiącami wieść o znacznych zapisach Karola Burgharda napełniła wzruszeniem, nadzieją i otuchą serca licznych nędzarzy. Wielu z nich srodze się rozczaruje, gdyż nie zawsze wola testatora ściśle bywa pojmowaną, a lojalność ludzka nie zna miłosierdzia i sprawiedliwości. U nas nie ten dobroczyńca, co daje, lecz ten, co się opiekuje powierzonymi kapitałami. W jego mocy otrzeć lub nie łzę niedoli. Wzmiankowany wyżej zapisodawca przeznaczył piotrkowskiemu Towarzystwu dobroczynności fundusz na „Zakład rodziny Adeli,“ czyli przytułek dla sierot. Otóż członkowie instytucyi dobroczynnej uchwalili nie przyjmować dziewczynek *nieprawych*, a tylko w takim razie uwzględnić je, gdy innych kandydatek zabraknie. Zacny Burghard przewróciłby się w grobie, gdyby wiedział o takiem pogwałceniu jego szlachetnych postanowień. Powiedział on w testamencie: „Do zakładu rodziny Adeli będą przyjmowane dziewczynki, które straciły obojga rodziców, lub jedno z nich, a do tego są niezamożne i nie mają rodziny mogącej się zająć ich losem.“ Dobrodzieje w cudzem pierzu! Należałoby was pozbawić praw obywatelstwa za odejmowanie ich wyklętym przez świątobliwą opinię publiczną. Jeżeli jesteście dyktatorami w powierzonej wam instytucyi, radzę, zróbcie rachunek sumienia; może się u którego z was znajdzie rubryka: wzbogacanie domu przytułku. To powinnoby zmiękczyć wasze surowe wyroki. Oby lepszych przewodników dostało przytulisko dla epileptyków i paralityków w Grójcu. Roboty koło budynku podobno już są tam na ukończeniu. Środki na utrzymanie zakładu wyznaczone będą z ogólnych zapasowych funduszów dobroczynności gub. warszawskiej.

Jest pewien gatunek ofiarodawców, którzy nie skąpią środków dla ogólnego dobra, gdy jednocześnie mogą być dobrodziejami... dla siebie. Oceniajmy takich pod względem praktycznym, pomijając ich pobudki. Przed kilku laty w Piotrkowie niejaki Dawid Opoczyński, wspólnie z innymi izraelitami, przeznaczył na założenie lombardu 1,000 rs. Projekt jednak nie przyszedł dotąd do sku-

tku, może dla tego, że miał na celu tylko starozakonnych. Tymczasem potrzeba takiego zakładu dla proletaryuszów piotrkowskich staje się coraz gwałtowniejszą. Kołacze o to organ miejscowy, wzdychają do tego gnieceni lichwą, ale jakoś dotąd niema śmiałka kapitalisty, coby chciał zbawić tonących, bez względu na ich pochodzenie plemienne. Zdaje mi się, że takie przedsiębiorstwo nie byłoby ryzykownem, a łatwo dałoby się uskutecznić za pośrednictwem udziałów.

Radom jest w przededniu porodu ważnej instytucyi — Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Podobno weszła ona już na dobrą drogę, a gazeta miejscowa faktami ręczy za jej powodzenie. Mała ludność Radomia (20,000 mieszkańców) według zdania interesowanych, nie może mieć wpływu na zachwianie i operacye finansowe Towarzystwa. Pod względem rozwoju handlowego miasto nie zajmuje także ostatniego miejsca i znacznie wyprzedziło inne gubernialne, znajdujące się w jednakowych z niem warunkach. Czy w Radomiu może być popyt na domy, w wypadku, gdyby niewypłacalność stowarzyszonego zniewoliła zarząd do sprzedania nieruchomości, obciążonej pożyczką, pod tym względem — twierdzi *Gaz. radomska* — nie może być najmniejszej wątpliwości, gdyż stosownie do projektu ustaw, pożyczki będą wydawane tylko na pierwszy numer hypoteki, to jest, że dług zawsze będzie się mieścił, jeżeli nie w czwartej części, to w polowie hypotecznego szacunku i to nie domu, lecz całej nieruchomości, a zatem licytacya rozpoczynałaby się mniej niż od połowy wartości. Powtóre, w ciągu ostatnich lat dziesięciu, a szczególnie po otwarciu kolei Dąbrowskiej, wskutek wzrostu mieszkańców, stanęło około 50 kamienic, a mimo to często się uczuwa brak mieszkań. Nareszcie — nie było wypadku, aby spełzła licytacya na sprzedaż nieruchomości miejskich od zniżonej do połowy sumy szacunkowej.

Drogomir.

PRASA RUSKA.

Nowoje Wremia pisze:

„Religijna i literacka agitacya“ — oto słowa, jakiemi charakteryzuje prasa polska znany program doktora Żiwnego oraz uwagi, wywołane przez ten program wśród gazet ruskich. Społeczeństwo ruskie znużyło się jakoby jałową agitacyą panslawistyczną! Teraz pojawił się na scenie panslawizm „umysłowy.“ *Reforma* krakowska wtórzy głosowi czeskiej *Politik* i, nie zadając sobie trudu, aby bliżej rozejrzeć się w przedmiocie, występuje już z przepowiednią, że tego rodzaju panslawizm, „pojęty jak go pojmuje Żiwny, posiada jeszcze mniej szans powodzenia, niż panslawizm polityczny.“

„Jakimże to sposobem? Czyżby kultura ruska nie była potrzebna dla słowian zachodnich, czyż literatura pierwszorzędnego narodu nie może im przynieść żadnego pożytku i wpłynąć pomyślnie na wzrost tych rozwijających się dopiero narodowości? A może miejsce kultury ruskiej, gdy zadanie to przechodzi siły kultury polskiej, zajmie niemiecka?

„Takiemi pytaniami nie zajmują się, jak wyżej powiedzieliśmy, ani polskie pisma, ani partya czeska, reprezentowana przez gazetę *Politik*. Natomiast domagają się one samodzielnego rozwoju narodowości słowiańskich, powołując się przytem — no, zgadnijcie na jaką powagę? — na *Historyę literatur słowiańskich* Pypina i Spasowicza! *Politik* cytuje powyższe dzieło na dowód, że, jak się pokazuje, w samej Rosyi znajdują się ludzie, niepodzielający programu d-ra Żiwnego. Innych poważniejszych argumentów przeciw nowemu programowi „panslawistycznemu“ nie mają w zapasie. Rzecz prosta, że jak wszędzie, tak i w Rosyi istnieją różnice w poglądach na literaturę i politykę, a zatem i na sprawy słowiańskie; ale w danym wypadku nie dowodzi to niczego. Istotną wagę posiada jedynie wyraz większości ruskiej opinii publicznej, i to współczesnej, nigdy zaś jakiekolwiek odosobnione poglądy, zwłaszcza gdy wygłoszone zostały na wiele lat przed ukazaniem się najnowszego programu wzajemnego zbliżenia się słowian.

„Kto wie, czy nie ważniejsza to jeszcze okoliczność, że sam ten program, puszczony przez pryzmat wrogiej prasy, wychodzi skażony. Istota jego polega na zastąpieniu środków polityki zewnętrznej przez środki polityki wewnętrznej, środki kulturne, prowadzące do wzajemnego zbliżenia się słowian, dzięki bogactwu języka ruskiego i wszechświatowemu znaczeniu literatury ruskiej. Posłuchajmy teraz, jak wygląda ten program w wykładzie austryacko - polskim. „Niech tylko słowianie austryaccy zmienią język i wiarę—a zjednoczenie nastąpi bezzwłocznie“ — powiadają ironicznie ci ludzie. Wiara — to kwestya osobistego przekonania; tutaj więc znalazła się zupełnie nie na miejscu. Wiemy, że wypadki przyjmowania prawosławia, zwłaszcza wśród czechów, powtarzają się coraz częściej i spodziewamy się, że z czasem liczba ich jeszcze bardziej wzrośnie; atoli od tego daleko jeszcze do „ryczałtowego“ nawrócenia się wszyskich słowian na prawosławie, co w praktyce byłoby rzeczą niewykonalną i zresztą dla sprawy niepotrzebną. Oczywiście mówi się to w tym celu, aby paraliżować, o ile się da, widoczne nie od dzisiaj naturalne chylenie się zachodnio-słowiańskich narodowości do liturgicznego języka Cyryla i Metodyusza; za tem bowiem pójdą — jak się obawiają nasi przeciwnicy — dalsze kroki zbliżenia się do kościoła wschodniego, który zachował ów język.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Szkoły. P. minister oświaty w rozesłanym cyrkularzu poleca, aby w r. b. oddawano pierwszeństwo tym ze wstępujących na uniwersytety izraelitom, którzy z powodu ograniczeń liczby słuchaczów wyznania mojżeszowego na uniwersytetach nie mogli się zapisać w roku zeszłym.

— Na zasadzie rozporządzenia p. ministra oświaty, od każdego ucznia wyznania mojżeszowego w średnich zakładach naukowych będzie pobieraną za słuchanie religii opłata dodatkowa rs. 8 do 10, od nowego roku szkolnego.

— Z rozporządzenia władzy wychowawczej, kandydaci na uczniów aptekarskich, którzy nie ukończyli całkowitego kursu nauk w szkołach realnych, podlegać mają egzaminom z języka łacińskiego, odpowiadającym kursowi, przepisanemu dla progimnazyów.

— W uniwersytecie syberyjskim tymczasowo otwartym będzie tylko wydział medyczny (w sierpniu). Minister oświecenia ma decydować o przyjmowaniu kandydatów z seminaryów duchownych.

— Nadzwyczajnym profesorem literatury rzymskiej na uniwersytecie warszawskim został mianowany p. Wiechow, zaś asystentem przy katedrze patologii student 5-go kursu wydziału lekarskiego, p. A. Kosiński.

— Dziekanem wydziału filozoficznego w uniwersytecie lwowskim został obrany na rok akademicki 1888/9 Janczewski, zaś teologicznego — Pawlicki.

Morderstwa. W dobrach p. Blumenfelda, Łaźniew (pow. błoński), uwolniony od obowiązków rządca Dziewulski, w przystępie dzikiej furyi, zabił z dubeltówki siostrę właściciela majątku, niebezpiecznie zranił drugą, postrzelił stangreta, wreszcie zamknąwszy się w mieszkaniu, sobie i kochance odebrał życie. Niewątpliwie przyczyną tych morderstw był stan chorobliwy ich sprawcy.

Szczątki Beethovena wydobyto z dotychczasowego miejsca ich spoczynku na cmentarzu w Währing (pod Wiedniem) i uroczyście pochowano na cmentarzu głównym. Przy tej sposobności delegowani Towarzystwa antropologicznego dokonali kilku pomiarów na czaszce mistrza, ale wielbiciele jego (pamiętni grabieży kości przy exhumacyi 1863 r.), nie pozwolili na pomiary szczegółowe. Zdaniem prof. Toldta, Beethoven przypominał twarzą mulata.

Konkurs. Ogłoszony przez redakcyę *Gaz. roln.* i studentów Instytutu w Nowej Aleksandryi (Puławach) konkurs o najwłaściwszem wynagradzaniu oficyalistów i robotników w gospodarstwie rolnem, został rozstrzygnięty. Nagrody 300 rublowej nie przyznano nikomu, 150 rs. zaś otrzymał p. B. Zdziarkowski.

Wyprawa. Kapitan Grąbczewski z generałem Przewalskim przedsięwzięli wyprawę w głąb Azyi. Celem wycieczki jest Samarkanda i Oraza, skąd ma być uorganizowaną wyprawa do Kaszgaryi przez Himalaje. Funduszu do badań naukowych dostarczyło Towarzystwo geograficzne.

Pożary. Z Witebska donoszą, że w mieście Newel spaliło się około 300 domów.

— W Walborzu pożar zniszczył 23 domy mieszkalne i 50 zabudowań gospodarskich.

Koleje. Zatwierdzono ustawę kolei uralsko-wołżskiej, mającej połączyć Uralsk ze stacyą Tomyłowo kolei orenburskiej.

— Kolei od morza Kaspijskiego do Teheranu wybudowano 9 wiorst, zamiast zamierzonych 50. Postanowiono ją przedłużyć tylko do 20 wiorst, na pozostałych 30 urządzona będzie kolej konna.

— Ministeryum komunikacyi poleciło wszystkim drogom żelaznym, żeby przed zatwierdzeniem przez komitet ministrów budżetów eksploatacyjnych, nie zawierały żadnych umów na sprzedaż bezużytecznych materyałów w terminach więcej niż dwuletnich. Na każdy taki kontrakt należy uzyskać przedtem oddzielne pozwolenie ministeryum.

— Kolej Warszawsko-Petersburska uzyskała kredyt 260,000 rs. na powiększenie taboru.

— Zarząd kolei Warszawsko-Wiedeńskiej będzie dopłacał w tym roku na rzecz funduszu emerytalnego nie 4, ale 6%, uczestnicy zaś 8%, razem 14%.

— Towarzystwo rozpowszechniania książek prawosławnych uzyskało od zarządu kolei Nadwiślańskiej przywilej przewożenia jednorazowo 100 pudów.

— W ubiegłem siedmioleciu zginęło na ruskich drogach żelaznych 3,078 ludzi, ranionych zaś było 6,286.

Torf. Za Wisłą naprzeciw Nowego Dworu odkryto trzymetrowe pokłady torfu; ciągną się one na przestrzeni kilkudziesięciu morgów.

Ostrzeżenie. Pakiety, opatrzone markami pocztowemi przekłutemi lub z stemplem fabrycznym, nie będą dochodziły do miejsca swego przeznaczenia.

Sprostowanie. Z Krakowa donoszą, że komitet pomnika dla Mickiewicza nie podpisał jeszcze umowy z p. Rygierem, lecz na ostatniem posiedzeniu ścisłego komitetu mówiono jedynie o projekcie.

Sądy. Od czasu pobytu w Warszawie ministra sprawiedliwości, tj. od lat dwóch, używano w sądach jednej tylko daty według starego stylu. Wskutek kasacyjnej skargi na odrzucenie apelacyi, podanej w czasie niewłaściwym z powodu uważania przez stronę nowej daty za nową, senat wyjaśnił, że potrzeba używać przy dacie starego stylu, także będącej w powszechnem użyciu.

Właściciele gorzelni w Królestwie Polskiem robią starania u p. ministra finansów o uwolnienie ich od projektowanego dopełniającego podatku od okowity, a także o uczynienie im pewnych ulg. Wychodzą oni z zasady, że w obecnych warunkach zaledwie się opłaca koszt fabrykacyi okowity. Wiadro okowity 78° stoi obecnie w cenie od 7 rs. 90 kop. do 8 rs. 20 kop., podczas gdy akcyza od wiadra wynosi 7 rs. 16 kop. Ponieważ zaś wyprodukowanie wiadra takiej okowity kosztuje od 20 do 30 kop., więc na pokrycie wydatków, po za kupnem zboża i kartofli, pozostaje zaledwie 50 do 75 kop. Rozprzestrzenianie się gorzelnictwa w Prusiech i Austryi głównie utrudnia rozwój tego przemysłu w Królestwie Polskiem.

Kasa pożyczkowa dla robotników. Ministeryum dóbr państwa przyjęło i zatwierdziło prośbę przedstawicieli ostatniego zjazdu górników południowych co do urządzenia przy kopalniach kas pożyczkowych dla robotników. Fundusz utworzony będzie zapomocą strącań 1 do 2% z pensyi robotników i z ofiar właścicieli kopalń, którzy zobowiążą się wnosić $^{1}/_{3}$ część ogólnej sumy wkładów robotników.

Stacye doświadczalne. Wobec nieustannie wykonywanych podrabiań sukna zapomocą domieszek ba-

wełny, wyczesków wełnianych itd., ministeryum finansów uznało za konieczne urządzenie stacyj doświadczalnych na wzór istniejących we Francyi. Będą one stęplowały sukna, uznane za dobre. Na początek ma być zorganizowaną pierwsza stacya oceny w jednem z większych miast przemysłowych.

Okólnik. Polecono gubernatorom wydać rozporządzenie, żeby pozostający w służbie pod zwierzchnictwem ministeryum spraw wewnętrznych szeregowcy, w razie powołania ich na ćwiczenia, nie tracili posad i nie dostawali dymisyj.

W Turkiestanie zabroniono izraelitom, przesiedlonym z gubernij środkowych, zajmować się gorzelnictwem i sprzedażą napojów spirytualnych. Przedtem izraelici korzystali z praw na równi z krajowcami.

Kolonie letnie. P. G. Fritsche otrzymał pozwolenie na urządzenie kolonij letnich dla ubogich chorych dzieci, w osadzie Grodzisk, we wsiach Janowie i Jadowie gub. warszawskiej, Czajki i Kozłów gub. łomżyńskiej, Sredkowice gub. kaliskiej i Kowalki gub. płockiej, jak również na zbieranie ofiar na cel powyższy do wysokości 4,000 rs.

Nowe bilety kredytowe. W sprawie wypuszczenia w obieg biletów kredytowych nowego wzoru, ogłoszony został Najwyższy ukaz imienny ministra finansów. Wymiana odbywać się będzie stopniowo, stosownie do wartości biletów, poczynając od asygnat 25-rublowych, z początku w Banku państwa i jego kantorach, następnie w izbach skarbowych i oddziałach Banku. Rozpocznie się od r. 1888 i trwać będzie do dnia 13 stycznia 1890 r. Ostateczny termin wycofania starych biletów kredytowych naznaczono do d. 13 stycznia 1893 r.

Departament lekarski przy ministeryum spraw wewnętrznych opracował nowe przepisy sanitarne w celu zapobiegania wnoszenia chorób zaraźliwych, a zwłaszcza cholery, w obręby państwa. Każda osoba, przybywająca z kraju, w którym panuje zaraza, będzie badana na granicy i następnie zaopatrywaną w osobne świadectwo.

Fundacya. Jeden z bogatych czechów ofiarował bezimiennie 200,000 złr. jako podstawę kapitału, z którego później ma być założona czeska Akademia nauk i literatury.

Ze Lwowa. Wydział krajowy wyznaczył dwie nagrody z fundacyi Kohmana. Tadeusz Korzon otrzymał 1,000 złr. za *Dzieje wewnętrzne Polski*, a H. Sienkiewicz 500 złr. za cykl powieści historycznych.

Bibliografia. K. Sękowski, *Buchalterya podwójna*, w zastosowaniu do fabryk produktów spożywczych, tj. cukrowni, gorzelni, browarów, młynów parowych, piekarni itp., oraz gospodarstwa rolnego z wiadomościami wstępnemi o rachunkowości podwójnej. Warszawa, str. 207.

Zmarli. Jerzy Laskarys, poeta, współpracownik *Teki wileńskiej*, *Kuryera wileńskiego*, *Gazety polskiej*, *Tygodnika mód* i in. W ostatnich czasach opracowywał dla dzieci znakomite utwory piśmiennictwa polskiego (Pamiętniki Paska, Pamiętniki starego szlachcica i in.). Zmarł w Bobrójsku.

— Korwin Piotrowski, skrzypek.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

K. P. T. Obrazowanie nie przedstawia ani widoków, ani barw świeżych.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Іюня 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.